

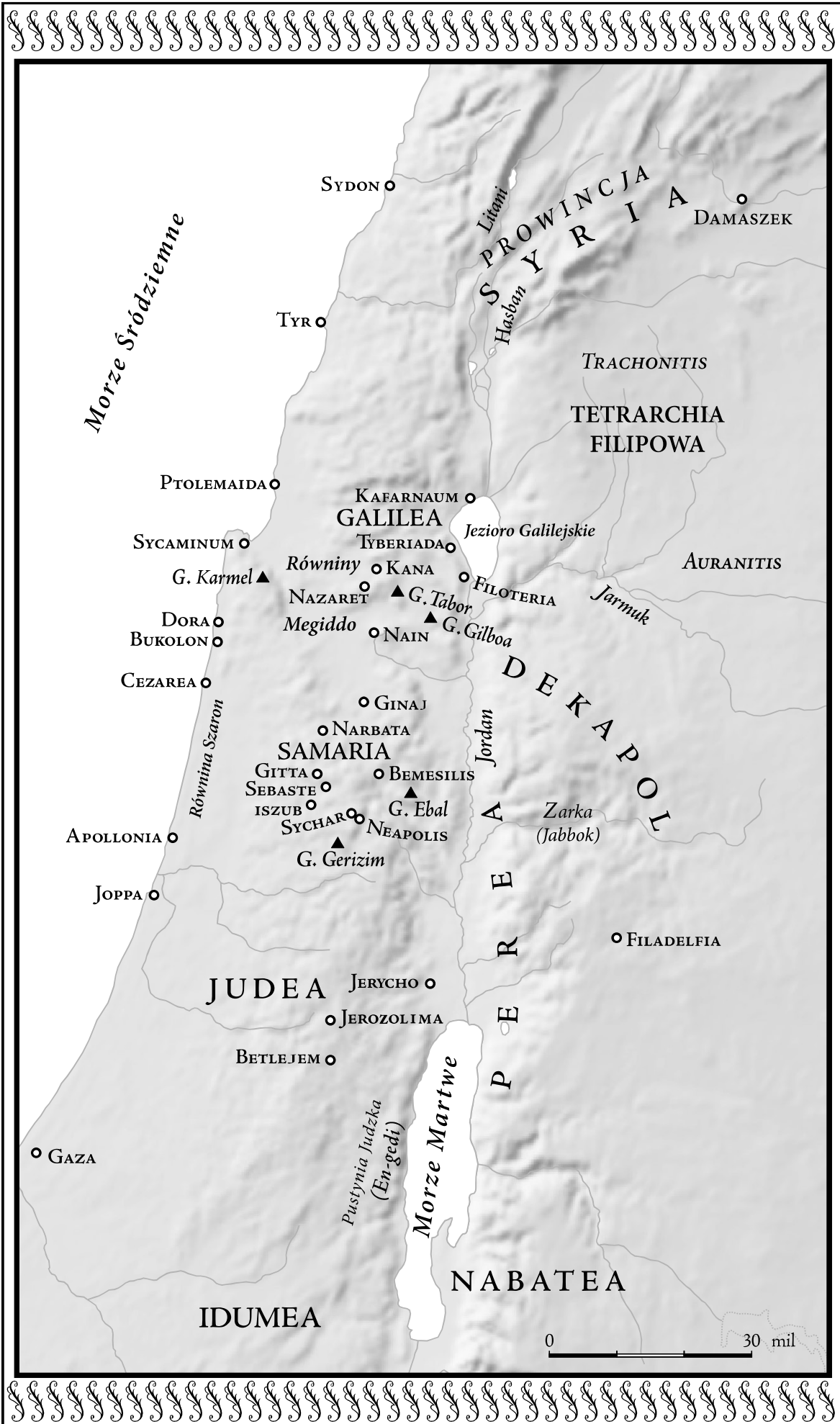
Dedykacja

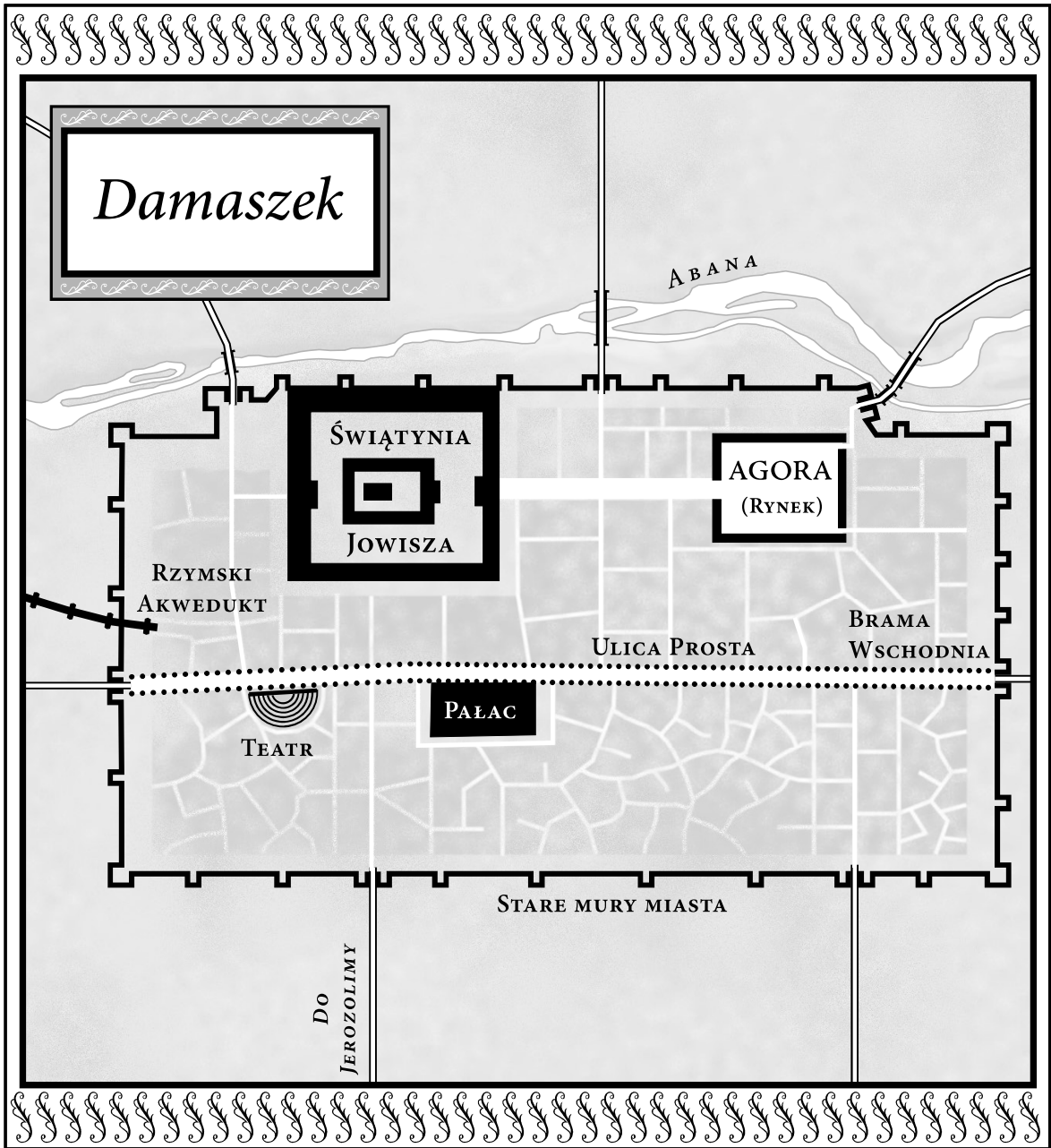
Łącząc się z apostołem Piotrem, dedykujemy tę książkę *tym, którzy dzięki sprawiedliwości Boga naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, otrzymali wiarę równie godną czci jak i nasza.*

Święty Paweł napisał: *A tu już nie ma Greka ani Żyda, (...) lecz wszystkim we wszystkich [jest] Chrystus.*

Jakiż to przywilej, być częścią Kościoła, który rozprzestrzenił się na cały świat, oczekującego na ten cudowny dzień, gdy On przyjdzie ponownie.

On sam powiedział: *Zaiste, przyjdę niebawem. Amen. Przyjdź, Panie Jezu!*









ROZDZIAŁ
PIERWSZY

Tyberiada, około 40 r. n.e.

Tego późnego popołudnia słońce prażyło z taką intensywnością, że tuż nad powierzchnią brązowej ziemi widać było, jak powietrze wręcz drży od upału. Na błękitnym niebie nie było ani śladu chmur, a drzewkami oliwnymi nie poruszał nawet najcichszy szmer wiatru. Julia szła bez pośpiechu ścieżką wiodącą do zewnętrznej bramy podwórza, a jej myśli krążyły wokół jutrzejszego dnia. Jej ojciec dopiero co wrócił, a już jutro o świcie będą musieli się pożegnać. Znowu.

Z jej ust wyrwało się pełne frustracji westchnienie. Czemu tak zawsze musiało być? Julia żyła w wiecznym oczekiwaniu na powrót ojca. Pamięć o radości rozbłyskującej w jego oczach na widok córki pozostawała w jej sercu na długo po kolejnym pożegnaniu.

Julia starała się zaakceptować swój los. Jamal, jej ojciec, był kupcem. Wiedziała, że ten zawód wymaga ciągłych podróży.

Mimo to w sercu miała wątpliwości, czy rzeczywiście nie mógł zostawać z nią choć trochę dłużej. Czemu zawsze czeka ich jedno pożegnanie za drugim? *A inne dziewczęta...*

Julia zatrzymała się i spojrzała pod nogi na ścieżkę. Wiedziała dobrze, że nie jest jak inne dziewczęta, choć nie potrafiła wyjaśnić, *dłaczego* tak jest. Jej życie wydawało się być pasmem nieustających sprzeczności. Jego poszczególne części nie pasowały do siebie nawzajem. Wiele razy się nad tym głowiła, lecz nie potrafiła tego do końca pojąć. A jej matka nigdy o tym nie mówiła, choć Julia była pewna, że ona też to czuje. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego Julia nie mogła pojąć, jej rodzina nie była częścią tyberiadzkiej społeczności. Mieszkali w pięknym, przestronnym domu, z wystarczającą liczbą służby, by żyć w dostatku i wygodzie, ale nigdy nie odwiedzali ich żadni goście, ani nikt nie zapraszał ich do siebie.

Jej matka spędzała większość dnia w swoich ulubionych pokojach lub w ogrodzie w centrum domu. Z uznaniem dotykała pięknych szat, które przywoził jej Jamal, lecz gdy wyjeżdżał, wisiały zapomniane, a Helena nosiła proste stroje domowe – do chwili, gdy służący zawiadamiał, że karawana Jamala zbliża się do bram miasta. Wtedy cały dom nabierał energii. Służący uwiłali się, nabierając świeżej wody, biegnąc na rynek, wyjmując naczynia z kadzidłem, kładąc w łaźni świeże płótna. Julia też się wtedy spieszyła... Biegła piaskową drogą prowadzącą z miasta prosto do miejsca, gdzie zostawiano wielbłądy, które jęczały i narzekały na ładunki obciążające ich grzbiety. Tam właśnie jej ojciec doglądał rozładunku karawany. Tam witał ją tym szczególnym uśmiechem i szeroko rozpostartymi ramionami. Jego włosy lśniły w słońcu miedzianym odcieniem, a oczy, osadzone w opalonej twarzy, jaśniały orzechowym blaskiem. Jakiś czas

temu zaprzestał unoszenia Julii w silnych ramionach i obracania się z nią dokoła.

– Chyba robisz się już na to za duża – powiedział kiedyś przytulając ją, zaś w jego głosie Julia usłyszała coś, czego nie zrozumiała.

A gdy przyjeżdżali razem do domu, wszystko wyglądało inaczej niż zwykle i inaczej pachniało. Matka witała ich w drzwiach z ciepłym uśmiechem na twarzy, ubrana w jedną z tych ślicznych jedwabnych szat.

– Witaj, mój panie – mówiła kłaniając się nisko, a mąż na chwilę przyciągał ją do siebie i patrzyli sobie głęboko w oczy, jak gdyby każde chciało się nasycić widokiem drugiego.

Wieczorny posiłek też wyglądał inaczej niż zwykle. Na stole pojawiała się mnóstwo przysmaków; niektórych z nich Julia nawet nie знаła. W cichej zazwyczaj komnacie rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy. Po posiłku Jamal otwierał swoją podróżną torbę i pokazywał im skarby z obcych egzotycznych krain: jedwabie i przyprawy, perfumy w pięknie rzeźbionych słoiczkach, grzebienie do włosów z masy perłowej lub bursztynu, biżuterię, bransolety, pierścionki i naszyjniki z czystego złota. Matka zachwycała się każdym podarkiem. W jej oczach odbijała się radość, a czarujący uśmiech potwierdzał deklaracje, jakie to wszystko jest śliczne.

Matka zdawała się w obecności ojca rozkwitać niczym pustynny kwiat w trakcie wiosennych deszczy. Wtedy Julia zdawała sobie sprawę, jak piękna wciąż jest Helena. Jamal również jej to wielokrotnie powtarzał. Słyszac to Helena rumieniła się lub uśmiechała, przyglądając dłonią długie czarne loki, które on najbardziej lubił zebrane luźno z tyłu, a rozpuszczone wokół twarzy. Zawsze było tak samo, przez cały czas, gdy Jamal był z nimi w domu. Cały ich świat ulegał zmianie.

Ale nigdzie razem nie wychodzili jako rodzina. Nie chodzili na targ, nie korzystali z żadnych miejskich atrakcji, nie odwiedzali sąsiadów. A już na pewno nie chodzili do synagogi, bo jej ojciec był Grekiem pochodzącym z Damaszku, i to raczej niezbyt religijnym. Julia wiedziała też, że korzenie jej matki są hebrajskie. Właściwie to Helena była Samarytanką, lecz nigdy o tym z Julią nie rozmawiała, raczej ucinając temat, jeśli córka próbowała ją o to pytać.

Gdy Jamal przyjeżdżał, ich niewielka rodzina przez cały czas pozostawała razem w domu. Cieszyli się sobą nawzajem, śmiali się, rozmawiali, a nawet się ze sobą droczyli. Udawali, że *tym razem* to się nie skończy.

Julia uwielbiała te chwile, przez co nieuchronne rozstanie było jeszcze trudniejsze.

Jamal wyjeżdżał często na wiele miesięcy. Śliczne podarunki znikwały z zasięgu wzroku. Matka z powrotem zaplatała włosy w prosty sposób, nosiła zwyczajne szaty domowe, a jej oczy były znów smutne i pełne udreki. A Julia? Ona również wracała do noszenia prostych ubiorów, niedbale zarzucając szal na ramiona. Lecz teraz, gdy była starsza, nie potrafiła odłożyć niektórych ulubionych klejnotów, otrzymanych od ojca. W pewien sposób, gdy je dotykała i słyszała brzęczenie na nadgarstkach, ojciec był jakby bliżej niej. Bo poza tym jej świat pozostawał ponury i zwyczajny, a cały czar, który ojciec ze sobą przywoził, gdzieś się ulatniał.

Julia otrząsnęła się z zadumy, westchnęła głęboko i w zniecierpliwieniu otarła pojedynczą łzę. *Przecież tata jest wciąż w Tyberiadzie* – pomyślała w duchu i potrząsnęła głową. Czy to nie wystarczy? Postanowiła jak najlepiej wykorzystać ten ostatni wieczór, który będą mogli spędzić razem.

Przyspieszyła kroku; jej sandały wzbijały małe kłębki kurzu, który wirował w rąbku jej szaty. Przełożyła przykryty szmatką kosz na ramię, aby nieść go wygodniej. Jamal będzie czekał na popołudniowy posiłek, chyba że nadzorowanie przygotowań karawany tak go pochłonęło, że nie zauważył, w jakiej pozycji jest słońce. Czasami wydawało jej się, że ojciec jest tak zaabsorbowany swymi obowiązkami, że mógłby nic nie jeść przez cały dzień. Jednak matka nalegała, by posyłać mu do pracy przekąski. A Julia bardzo się cieszyła z każdej okazji, by go odwiedzić.

Ścieżka wiodła z ich podwórza wprost na zatłoczoną ulicę wyjazdową, prowadzącą wzdłuż brzegu Jeziora Galilejskiego do miejsca postoju karawan. Gdy Julia przybyła na miejsce, zastała tam mnóstwo ryczących wielbłądów, beczących owiec, uwijających się przewodników karawan, bosonogich poganiaczy bydła. Wszystko tonęło w upale, kurzu i nieładzie. Julia miała ochotę wstrzymać oddech, by nie czuć przykrego zapachu zwierząt oraz spoconych ludzkich ciał. Przechodząc, czuła wokół siebie jakieś poruszenie, ale nikt nic głośno nie powiedział. Nie była tym zaskoczona. Nawet nowo zatrudnieni poganiacze wiedzieli, że gdy chodzi o córkę, bogaty kupiec Jamal ma ostry język i wybuchowy temperament. Nikt nie śmiał pobudzać go do gniewu, zwłaszcza gdy trzymał w ręku bicz do smagania wielbłądów. Julia zakryła nos szalem i przyspieszyła kroku.

Dokładnie wiedziała, gdzie go zastanie. Gdy dorastała, bywała tu wiele razy. Wielbłądy ojca stały zawsze w najlepszym miejscu terenu postojowego, najbliżej studni i koryt do pojenia zwierząt. Nawet z oddali słychać było dziwne ryki wielbłądów przepychających się przy korycie, do którego słudzy próbowali wlać z bukłaków świeżą wodę.

Przełożyła koszyk do drugiej ręki, podczas gdy jej wzrok obiegał ruchliwy, głośny tłum, poszukując znajomej sylwetki. Ojciec stał odwrócony do niej tyłem, pochylając się właśnie i badając przednią nogę jednej ze swoich wielbłądzic. Szybko podeszła do niego i nieco zsunęła koszyk z ramienia.

– Będzie mogła iść w karawanie? – na dźwięk delikatnego głosu córki Jamal wyprostował się, a jego oczy – o tak! – zajaśniały z wielkiej radości na jej widok. Serce dziewczyny podskoczyło ze szczęścia.

– Julio, mój skarbie – wziął z jej ręki koszyk. – Chodź, córeczko, usiadzimy gdzieś w cieniu.

Przeszli przez jedną z bram i podążyli w górę, w stronę namiotu. Jamal odstąpił wejście, przepuszczając dziewczynę przodem. Ziemię pod jej stopami pokrywały grube ciemne dywany. Pod jedną ze ścian leżała sterta poduszek. Julia wzięła kilka z nich i ułożyła tak, by mogli wygodnie usiąść. Bardzo lubiła tu przebywać. To było jej ulubione miejsce na świecie. Mogli tu być tylko we dwoje...

Gdyby tak... lecz nie pozwoliła myślom pobiec dalej w tym kierunku.

– Będzie mogła iść w karawanie? – spytała ponownie.

– Nic jej nie będzie. Dostała mocnego kopniaka przy korycie, ale przestała kuleć, a opuchlizna już zeszła.

Julia wiedziała, że powinna się cieszyć. Ta wielbłądzica szła jako pierwsza, prowadząc karawanę. Nadawała tempo reszcie zwierząt. Julia próbowała się uśmiechnąć, świadoma, że tego właśnie oczekuje od niej ojciec. Jednocześnie w sercu mimowolnie pomyślała z nadzieją, że gdyby zwierzę nie mogło iść, kolejny wyjazd karawany by się opóźnił.

– No to zobaczmy, co tam przyniosłaś dobrego – Jamal postawił koszyk na jednej z poduszek i podniósł przykrywającą go ściereczkę. Z uznaniem kiwnął głową na widok swoich ulubionych ciasteczek z miodem. – Rozpieszczasz mnie, skarbie.

– Tak naprawdę to mama cię rozpieszcza. Ja tylko przyniosłam koszyk.

Skinał głową.

– Ależ jestem szczęściarzem. Dwie cudowne kobiety tak się o mnie troszczą. – Poczekał, aż Julia naleje mu chłodnej herbaty do kubka. – Jakie masz życzenia? Co mam ci przywieźć z kolejnej podróży?

Znów to pytanie. Przypomniało jej, że ojciec zaraz kolejny raz wyjedzie. Jak tylko zacznie świtać, wyruszy na szlak kupiecki z karawaną, jeźdźcami i mnóstwem towarów, którymi handluje. Ona dzielnie się pożegna, pozwoli się czule uścisnąć, odwzajemni uśmiech, a potem resztę dnia spędzi popłakując cicho w swoim pokoju. Zawsze było tak samo. Radosne powitanie, a potem rozdzierające serce pożegnanie.

Nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł i pochyliła się do przodu.

– Ojczy, czy mogłabym... czemu nie miałabym pojechać z tobą?

Kubek z herbatą zastygł mu w dłoni.

– Chcesz jechać ze mną w karawanie?

– Tak. Mogłabym...

Ale on już potrząsał głową.

– Szlak handlowy to nie miejsce dla młodej panny. Zwłaszcza tak ładnej jak ty, Julio.

– Ale...

– Nie, nie, nie – szybko wyrzucił z siebie słowa. – To nie jest miejsce dla młodej dziewczyny. To niebezpieczne. A w dodatku nie przystoi – jeszcze raz potrząsnął głową.

Wiedziała, że dalsze argumentowanie nic nie da. Ojciec wypił jeszcze jeden kubek herbaty.

– Nawet sobie nie zdawałem sprawy, jaki jestem spragniony. Zjesz ze mną ciastko?

Potrząsnęła głową, po czym wstała.

– Nie, dziękuję, ojciec. Chyba pójdę pożegnać się z Sheeką.

Uśmiechnął się z pełnymi ustami.

– Te wielbłądy cię lubią, wiesz? Kiedy do nich mówisz, zawsze się uspokajają. Zawsze lepiej, kiedy na początku drogi są w dobrym humorze. Pracują ciężiej, są mniej niespokojne i nie takie uparte. No, idź. Dołączę do ciebie, jak tylko skończę jeść.

Julia odsunęła na bok połę od wejścia do namiotu i ruszyła w stronę pomrukujących, plujących wielbłądów. Sama też to zauważyła. Z jakiegoś powodu wielbłądy rzeczywiście stawały się bardziej uległe i potulne, gdy do nich przemawiała i gładziła ich długie, włochate szyje.

Julia wiedziała, że przez większość ludzi wielbłądy były postrzegane jako śmierdzące, obrzydliwe i nieprzewidywalne zwierzęta, a mimo to lubiła je. Nie wiedziała, ani nawet nie próbowała zrozumieć, dlaczego tak jest. Może z tego prostego powodu, że wraz z nimi zawsze powracał do domu jej ojciec? Pozwolił jej nawet nadać imię każdemu z nich. Z radością myślała, że wędrując krętymi szlakami do odległego Damaszku czy Jerycha, ojciec woła wielbłądy po imieniu, które ona wybrała.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać Sheekę po karku. Nie wypadało podchodzić najpierw do innych wielbłądów, bo ich przy-

wódczyni z pewnością wyraziłaby dezaprobatę w postaci gniewnych pomruków i jęków.

– Jak się masz? Czy noga mniej cię już boli? – zapytała łagodnie. – Czeka cię długa droga. Jesteś pewna, że... – kucnęła, by zbadać chorą nogę wielbłądzicy. Delikatnie przebiegła dłonią po wrażliwym miejscu. Pomruki zwierzęcia złagodniały. – Myślę, że tato ma rację. Jesteś...

– Ej, ty tam! – rozległ się za jej plecami donośny głos. – Wielbłądy chcą pić, a koryto puste. Przynieś więcej wody!

Julia zerknęła przez ramię na pokrytego kurzem strażnika karawany z lśniącym mieczem za skórzanym pasem. Najwidoczniej dopiero wrócił ze szlaku. Miał na sobie proste ubranie, a jego twarz była ogorzała od pustynnego słońca. Spojrzał na nią krzywo spod ciemnej, potarganej czupryny. Zauważyła, że jest młody. Zbyt młody, by mówić z aż takim autorytetem. I chyba zbyt młody, by nosić tę krótką, ciemną brodę. Julia pozwoliła sobie na przelotne spojrzenie na jego twarz, a potem rozejrzała się na boki, by zorientować się, do kogo mówi.

– Wielbłądy – powiedział, znowu wskazując na stłoczone tuż za nim stadko. Spojrzał prosto na nią. Jego ton był pytający, gdy dodał: – Są spragnione. To była długa podróż.

Wyprostowała się powoli. A więc jego szorstkie rozkazy skierowane były do niej. Czuła, jak narasta w niej gniew. On myślał, że jest służącą. Albo jeszcze gorzej – niewolnicą. Nie widział, że ma na stopach sandały, a na rękach kosztowne bransolety? I że jej kolczyki są ze złota?

Czuła, że jej oczy również płoną gniewem. Kim był ten młody zarozumialec, by jej rozkazywać, jakby była jakąś wieśniaczką? Kto dał mu prawo wydawać rozkazy córce Jamala, najbogatsze-

go i najważniejszego kupca na całym szlaku? Ona miałyby napić jego zwierzęta? Niedoczekanie!

Zrobiła krok do tyłu, ramiona jej zeszywniały, uniosła podbródek. Jej policzki zapłonęły gniewem.

Ale on nawet nie mrugnął.

– Nie słyszysz, co mówię? Wielbłądy potrzebują wody.

Spojrzała na niego wyzywająco.

– To radzę ci je napić zanim twój pan każe cię wychłostać.

Odeszła już kilka kroków, nim chłopak otrząsnął się ze zdziwienia na tyle, by zawołać za nią:

– On *nie jest* moim panem!

Nie mogła się oprzeć, żeby nie odwrócić się na pięcie, wskazując palcem w kierunku namiotu Jamala.

– A ja nie jestem jego niewolnicą, ani jego służącą. Jestem jego *córką*.

Zatrzymała się na tyle długo, by zobaczyć, jak zszokowany chłopak wytrzeszcza oczy. Jego usta otworzyły się nieco i obawiała się, że będzie próbował ją przeproszać, więc odwróciła się znowu, a jej postawa jasno wyrażała irytację. Odeszła, z przyjemnością wyobrażając sobie, jak jej rozmówca musi być zaniepokojony.



Julia otrzepała z kurzu bawełnianą suknię, potrząsnęła gęstymi brązowymi lokami, przetkanymi złotymi pasemkami. *Mam je po tacie* – pomyślała z satysfakcją – i związała niesforne włosy z tyłu głowy w ciasny kok. Gdy uznała, że wygląda wystarczająco schludnie, by wejść do komnaty, w której miała zostać podana kolacja, z westchnieniem otworzyła drzwi swojego pokoju i prawie wpadła na Zoe. Starsza kobieta stała przed nią z tacą w dłoni;

drugą miała już przygotowaną, by zapukać w drzwi. Wyglądała na tak samo zaskoczoną jak Julia.

Dziewczyna ocknęła się i otworzyła drzwi szerzej, by wpuścić służącą.

– Czy mama źle się czuje?

– Znów ma bóle w skroniach – w tych kilku słowach dało się słyszeć zmartwienie, które ich ukochana służąca bezskutecznie starała się ukryć.

Ostatnio o wiele za często powtarzała się ta sytuacja – Helena nie jadła z Julią posiłków, bo źle się czuła.

– Postaw, proszę, tacę na stoliku obok okna.

Zoe zrobiła, o co ją poproszono, po czym skinęła lekko w stronę Julii i odwróciła się, by odejść.

– Zaczekaj, proszę – dodała Julia, nieco zawstydzona tonem swojego głosu. W jej uszach zabrzmiało to arogancko. – Proszę... – powtórzyła. – Ja... tak bardzo nie lubię jeść sama. Mogłabyś ze mną zostać?

Jeszcze jedno skinienie głowy i role pani i służącej jakby rozplynęły się w powietrzu. Zoe spojrzała na nią, niczym babcia na rodzoną wnuczkę.

– Ty też się martwisz – powiedziała łagodnie.

Julia przełknęła kęs, starając się rozluźnić ściśnięte gardło. Podeszła do okna i odsłoniła ciężką zasłonę. Może upał dnia zelżał już na tyle, by można wpuścić do środka trochę świeżego powietrza? Zmierzchało. Zarówno na podwórzu, jak i na wapiennej podłodze w pokoju kładły się wieczorne cienie. Na niebie świeciła samotna gwiazda, migocąc lekko, jakby chciała zachęcić inne, by do niej dołączyły.

– Przyniosłaś dwa kubki?

Zoe usiadła na stołku.

– Nie, tylko jeden.

– Nie szkodzi. Mam jeden przy dzbanku z wodą. Przyniosę.

Julia naląła dwie porcje herbaty, po czym zajęła miejsce na krześle po przeciwnej stronie małego stolika. Przesunęła tacę w kierunku Zoe, w nadziei, że drobna, starsza kobieta zechce coś zjeść. Co ona i jej matka by zrobiły, gdyby coś się stało Zoe? Julia utkwiała wzrok w tej kobiecie, którą znała przez całe swoje życie i zadała pytanie, które ciągle pojawiało się w jej myślach:

– Czy mama jest poważnie chora?

Wypowiadając te słowa, cały czas patrzyła w oczy Zoe, jakby chciała w ten sposób zmusić ją do powiedzenia całej prawdy.

Starsza kobieta potrząsnęła głową:

– Martwi się.

Julia spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Ale nie mogę z niej wydobyć, co jest przedmiotem jej troski – powiedziała. – Zoe, czy ona dzieli się z tobą tym, co nosi w sercu?

Starsza kobieta zawahała się.

– Helena... Twoja matka nie mówi na ten temat, ale...

– Znasz moją mamę znacznie dłużej niż ja. Uważa cię za swoją jedyną przyjaciółkę. Obie ją kochamy. Musimy porozmawiać i zrobić wszystko, by jej pomóc.

Julia dotknęła dłoni Zoe.

Jej prośba najwyraźniej nie pozostawiła starszej kobiety obojętną. Nie patrząc dziewczynie w oczy odpowiedziała:

– To się zaczęło dawno temu. W Samarii, gdzie twoja matka się urodziła, była wesołą, beztróską dziewczynką. A potem, gdy... gdy w rodzinie... przydarzyły się nieszczęścia i zostali z długami, Helena była zmuszona zaradzić tej sytuacji.

– Zaradzić? Jak to? Co masz na myśli?

– Twój ojciec powiedział, że weźmie mały stragan na rynku i... no i Helenę... jako spłatę długu. A nawet, mówiono, że w swej hojności zaoferował rodzinie trochę pieniędzy. I wtedy Helena została sprowadzona tutaj. A ja razem z nią.

Julia poczuła, jak jej ciało sztywnieje.

– Mój ojciec?

Zoe tylko skinęła głową, ze wzrokiem wbitym w dłonie splecione na kolanach.

– I ożenił się z nią?

Zoe nie odpowiedziała.

– To znaczy, że...? – Julia nie mogła skończyć zdania. Czuła, jak serce głośno wali w jej piersi.

Gdy Zoe znów się odezwała, ton jej głosu był łagodny.

– Julia, taka jest kolej rzeczy. Nie możemy tego zmienić. Twój dziadek umarł. Matka Heleny, twoja babka, zaakceptowała jedyne wyjście z sytuacji, by ratować rodzinę. Inaczej wszyscy zostaliby sprzedani jako niewolnicy albo musieliby żebrac na ulicy. Helena była piękną, młodą dziewczyną. Twój ojciec ją zauważył i zaoferował wyjście z tej sytuacji...

– Ale przecież on ją kocha – zaprotestowała Julia.

Zoe podniosła wzrok.

– Tak. Tak, kocha ją.

– Ale on ją... *kupił*? – Julia wciąż nie mogła tego pojąć. – Mama była po prostu zapłatą za *dług*?

– W pewnym sensie... tak.

– Czyli nie jest jego żoną, tylko jego *niewolnicą* – niechcący wypowiedziała to okropne słowo zbyt ostrym tonem. Och, co za wstyd! Julia czuła, jak do jej oczu napływają gorące łzy. Nic dziwnego, że kobiety w mieście przechodziły na drugą stronę ulicy, gdy ją widziały. Nic dziwnego, że nigdy nie mieli gości.

– To dlatego jesteśmy traktowane jak trędowate...

– Nie, nie... Jestem pewna, że nasi sąsiedzi, ludzie w mieście, o niczym nie wiedzą.

– Więc ojciec ukrywa matkę w domu, żeby ją chronić przed złymi językami?

Zoe wzruszyła ramionami i zaczęła bawić się nitką wystającą z jej szala.

– To dość częste wśród mężczyzn o takiej pozycji jak Jamal. Myślę, że on się w ogóle nad tym nie zastanawia.

Te słowa sprawiły, że gniew Julii wzrósł jeszcze bardziej. Czy on naprawdę nie miał pojęcia, co to oznaczało?

– Ona jest zwykłą... – zaczęła Julia, ale nie mogła powiedzieć tego na głos.

Mimo to Zoe podniosła głowę i powiedziała szybko:

– Nie tobie oceniać. Skąd możesz wiedzieć, jak to wszystko się zaczęło? Albo jak wygląda teraz? Nie widzisz ich, jacy są szczęśliwi, kiedy są razem?

Słowa Julii były równie niecierpliwe, a przy tym gniewne.

– A gdzie on się cały czas podziewa, Zoe? Czy zawsze jeździ z towarami, tak jak twierdzi?

Zoe znów westchnęła, ale Julia widziała, że kobieta nie ma zamiaru skłamać.

– Z tego, co wiem, on ma dom i rodzinę.

– Gdzie?

– W Damaszku.

– A zatem oszukuje nas i ich. Tę rodzinę w Damaszku. Czy oni o nas wiedzą?

Zoe wyprostowała się.

– Nie mam pojęcia. I to naprawdę nie jest nasza sprawa, Julio. Nie powinniśmy zadawać żadnych pytań, ani...

– Czy mama wie? O tej drugiej rodzinie? Wie?

Zoe skinęła głową.

– Nic dziwnego, że jest chora i że się martwi. Nie ma żadnych praw, nie ma męża...

– Myślę, że ona nie martwi się o siebie.

Nagle Julia zrozumiała. Jej matka jest Samarytanką, uznaną przez Judejczyków za wyrzutka. Nie jest ani członkiem społeczności judejskiej, ani poganką. Nawet jej helleńskie imię stygmatyzuje ją wskazując, że nie należy do hebrajskiej społeczności. A teraz okazuje się, że jest utrzymanką. Nie jest nawet żoną bogatego greckiego kupca. Stoi całkowicie na przegranej pozycji wobec innej kobiety, innego domu, innej rodziny.

A jakie prawa ma jej jedyne dziecko? Na myśl o tym Julia postawiła nietknięte jedzenie z powrotem na tacę.

– W dodatku jestem dziewczyną. Matka nie ma syna, który by się o nią zatroszczył, gdyby została odrzucona – dziewczyna wpatrywała się w Zoe. – Czemu nie miała więcej dzieci?

– Chciała. Nawet bardzo. Ale jej łono się zamknęło. Mówiła, że Jahwe uznał ją za niegodną...

Julia odepchnęła zimną już herbatę, wstała z krzesła i podeszła do okna. Na ciemniejszym niebie pojawiło się więcej gwiazd. Po lewej stronie ćwiartka księżyca robiła co w jej mocy, by dać choć trochę światła. Z podwórza słychać było tylko głosy kłócących się o coś sług. *Pewnie wartownicy dyskutują, kto o której godzinie będzie miał wartę* – pomyślała odrętwiale, a jej palce wodziły po parapecie.

Odwróciła się z powrotem do Zoe, swojej jedynej kotwicy w walącym się na głowę świecie.

– Od początku o tym wiedziałaś?

Zoe przytaknęła.

– Tak. Byłam z twoją matką od początku, jeszcze w Samarii.

Jej oczy zasnuły się smutkiem, a ręka, którą uniosła, by poprawić szal, wyraźnie się trzęsła.

– Rozpuściłaś mnie – zganiła ją łagodnie Julia. – Mam teraz poczucie, że byłam zbyt rozpieszczonym dzieckiem.

Zoe wyprostowała się, a jej oczy błysnęły w cichym proteście.

– Byłaś otoczona pięknymi i drogimi przedmiotami. Masz ojca i matkę, którzy cię kochają...

– I za nic nie brałam odpowiedzialności. Ale teraz będę. Muszę coś zrobić, żeby pomóc mamie. Na pewno jest jakiś sposób.

– Myślę, że rzeczywiście jest jeden sposób – powiedziała powoli Zoe, patrząc w swój kubek. Po chwili podniosła wzrok na Julię.

– Pamiętasz, jak kilka tygodni temu udałam się do Sychar? Dostałam pozwolenie, by podróżować z karawaną twego ojca, żeby zobaczyć się z rodziną. Ale zobaczyłam się nie tylko z nimi. Spotkałam sąsiadkę, też Samarytanę. Kiedyś, w czasach, kiedy ja i twoja matka tam mieszkaliśmy, nie nazwałabym jej przyjaciółką. Ale ona się zmieniła, jest teraz zupełnie inną osobą. Opowiedziała mi o tym. Kilka lat temu spotkała przy miejskiej studni mężczyznę, Proroka z Izraela. Ten Rabbi rozmawiał z nią, a ona wraz z wieloma innymi ludźmi stała się Jego wyznawczynią. Gdy po raz pierwszy usłyszałam jej historię, wydawała mi się trudna do uwierzenia, ale ta sąsiadka kazała mi znaleźć grupę Jego wyznawców, gdy wrócę do Tyberiady. Powiedziała, że oni opowiedzą mi więcej. Tak też zrobiłam. Ci ludzie mieszkają w wiosce nieopodal. Nazywają się wyznawcami Drogi i są wszędzie. Jest ich coraz więcej.

Głos Zoe rozbrzmiewał emocjami, jakich Julia nigdy wcześniej u niej nie słyszała.

– On nie jest tylko zwykłym prorokiem. On jest obiecany Mesjaszem. I nie przyszedł tylko do Żydów. Przyszedł do wszyst-

kich ludzi – nawet do nas, Samarytan. Przyszedł, żeby nam przynieść zbawienie i wolność.

Julia była bardziej zaintrygowana niż przekonana, lecz spytała:

– A gdzie jest ten Prorok?

Zoe zmarszczyła brwi.

– No... On... został ukrzyżowany.

– Co ty mówisz? Czyli nie żyje?

– I tu dochodzimy do części historii, w którą na początku trudno mi było uwierzyć, ale to prawda – tłumaczyła szybko Zoe. – On powstał z grobu. Ludzie Go widzieli. Najpierw kilkoro, a potem więcej. Rozmawiał i jadł z nimi. Mówił im, co mają robić i dawał obietnice dotyczące przyszłości. Wiedzą, że to, co powiedział...

– Nie rozumiem – Julia potrząsnęła głową, słysząc tę niedorzeczną opowieść.

Zoe wstała, a jej oczy lśniły jakimś niezwykłym blaskiem. Wyciągnęła spracowaną dłoń i położyła ją na ramieniu dziewczyny.

– Chodź ze mną. Spotykamy się znów dziś wieczorem. Niech jeden z przywódców wyjaśni ci rzeczy, których ja wyjaśnić nie potrafię. Chodź ze mną, proszę.

To czysty nonsens. Martwy powraca do życia! Ale... gdzież indziej mogłaby znaleźć obietnicę pomocy? Co jej szkodzi posłuchać ich opowieści o tym Człowieku, kimkolwiek On był?

W końcu Julia skinęła głową na znak, że się zgadza i ujrzała, jak oczy starej służącej nagle się rozświeciły.



ROZDZIAŁ DRUGI

Tyberiada, sześć miesięcy później.

– Albanie! – głos Jamala, syryjskiego kupca i właściciela karawany oraz ziemi, na której znajdował się rynek przy wjeździe do Tyberiady, niósł się daleko – zwłaszcza gdy ten był czymś zdenerwowany. – Potrzebuję zamienić z tobą słowo!

Alban zostawił Jakuba i ruszył w kierunku otwartego namiotu. Nad obozowiskiem unosiły się chmury pyłu, a wielbłądy parskwały, tupały i ryczały. Niektóre niecierpliwie oczekiwały, by rozpocząć wędrówkę, inne narzekały na ogromne ciężary, które ktoś właśnie przymocowywał na ich grzbietach.

Namiot Jamala zdecydowanie wyróżniał się wśród innych. Jego rogi utrzymywały drewniane pale, bogato rzeźbione, z namalowanymi spiralami i innymi egzotycznymi wzorami. Jeszcze nie wzmógł się poranny wiatr, więc wszystkie cztery strony namiotu były podniesione. Na podłodze zasłanej warstwami tkanych dywanów stało krzesło przypominające tron, z połączanymi

podłokietnikami. Na krześle tym siedział Jamal, a po jego lewej stronie, na miedzianym stoliku znajdowało się pióro, atrament, pergamin i herbata. Owo przenośne miejsce zamieszkania usytuowane było na niewielkim wzniesieniu tuż za obozowiskiem, dając Jamalowi widok z góry na całą karawanę.

Alban wiedział, że wprawne oko mężczyzny zauważy wszystko. Gdy zbliżał się do namiotu, główny służący podszedł do niego z misą i ręcznikiem. Alban powinien umyć ręce, twarz i stopy. Lecz nie – Jamal niecierpliwie machnął służącemu na znak, by się oddalił.

– Nie będziemy zatrzymywać naszego głównego strażnika ani chwili dłużej niż to konieczne.

Alban, jak przystało, czekał na skraju namiotu. Jego zakurzony sandały nie dotykały dywanu.

– Panie?

– To zła wróżba, żeby zaczynać podróż, kiedy ludzie się kłócą.

– Wśród wyznawców Drogi – powiedział cicho Alban – nie istnieje coś takiego jak wróżby.

Jamal skwitował to machnięciem ręki.

– Ja nie jestem wyznawcą żadnego człowieka ani bóstwa. I to dobrze dla nas wszystkich. To ja tu rządzę, Albanie – ja! I wynająłem ciebie, byłego rzymskiego setnika, abyś strzegł mojej karawany, a nie żebyś siał niezgodę wśród reszty moich strażników.

– Słyszę, panie, i jestem posłuszny.

– Karawana rusza o świcie. Chcę, by uwaga mojego głównego strażnika była skupiona na ochronie moich towarów, a nie na jego młodym pomocniku. Może powinienem go wymienić na kogoś innego? Tego, jak mu tam... Jakuba?

– Jest moją prawą ręką – zapewnił go szybko Alban. – I jednym z twoich najlepszych strażników.

– Słyszałem o nim same dobre rzeczy – zgodził się Jamal. – Ale czemu ty bladym świtem już wszczynasz kłótnie?

Alban wiedział, że za charakterystyczną wesołością kupca w rzeczywistości kryje się niebezpieczny gniew. Wyczuwał siłę czającą się w tym mężczyźnie, który na szczęście właśnie nieco łagodniał.

– Czasem Jakub jest nieco trudny i uparty.

– Za to ty w jego wieku z pewnością byłeś aniołkiem o złotych skrzydełkach i uśmiechu, który rozmiękczał serca starszyny w twojej wiosce? – Jamal upił łyk ze złotego kielicha. Gdy tylko postawił kielich z powrotem na stole, stojący za nim sługa na nowo go napełnił. Z nalewanego napoju uniosła się para, a powietrze nagle zapachniało miętą. – Powiedz, bo zapomniałem: Jakub to twój siostrzeniec?

– Mój podopieczny. Uratowałem go od handlarzy niewolników, gdy był jeszcze chłopcem. Kilka lat temu zostałem jego prawnym opiekunem. I jego siostry też.

– To, co was obu łączy, jest tak silne jak więzy krwi – zauważył Jamal. Jego gniew zdawał się już wyparować niczym ciepło napoju z kielicha. – Co z pewnością wyjaśnia fakt, dlaczego przed chwilą darliście ze sobą koty jak ojciec z synem.

Alban westchnął. Jego żona, Lea, też go z tego powodu upominała. I to nie raz.

– Przepraszam, jeśli zakłóciliśmy ci poranny spokój, panie.

– Nie tylko mnie! Mistrz karawany już i tak niepokoi się z powodu zagrożenia ze strony bandytów i zelotów z samarytańskich równin, czyhających na moje cenne towary!

Jamal wrócił z ostatniej podróży z jakimś problemem zdrowotnym. Najlepszy lekarz w Tyberiadzie nakłonił go, by przynajmniej na jakiś czas zaprzestał podróży. Jamal niechętnie

się zgodził i nie była to łatwa decyzja. Alban wiedział, że kupca drażniła sama myśl o tym, że jego karawany wyjadą z Tyberiady bez niego.

– Będę strzegł twojej karawany i twego towaru jak własnego życia – powiedział Alban.

– Nie kwestionuję twej lojalności, kapitanie straży. – Choć Jamal powrócił do luźnego tonu, jego spojrzenie pozostawało twarde jak stal. – A teraz rozkazuję ci, idź i pojednaj się z tym twoim Jakubem.

Alban uklonił się.

– Panie.

Wrócił do miejsca, gdzie Jakub pomagał załadować osły niosące zapasy karawany na drogę. Jakub obejrzał się przez ramię, a widząc zbliżającego się Albana tak mocno pociągnął jeden z pasków, że osioł zarżał.

Alban rozpostarł szeroko ramiona.

– Pojednajmy się, proszę. Niech będzie między nami pokój.

– Przychodzisz tylko dlatego, że Jamal ci kazał – burknął, okrywając płachtą zapasy, które miały im starczyć na najbliższe cztery dni.

– Rozkaz był jego. Ale pokój oferuję ja.

Alban widział, że Jakub pozostaje zacięty, lecz utrzymał nerwy na wodzy. Wreszcie chłopak, nie patrząc mu w oczy, krótko skinął głową, po czym szybko wrócił do pracy.

Przez chwilę Alban obserwował jeszcze swego podopiecznego. Jakub wyraźnie rósł w siłę i męźniał. Czasem Alban wciąż widział w nim młodego chłopaka, lecz teraz, gdy spojrzał na niego z innej perspektywy, zauważył, że barki Jakuba są już szersze niż jego własne, a ramiona i nogi bardzo muskularne. Jakub miał prawie dwadzieścia lat i był już o pół głowy wyższy od Albana.

Był jeszcze na tyle szczupły, że Alban wciąż przeważał nad nim ciężarem, lecz Jakub miał dużo siły i młodzieńczego wigoru.

Alban poszedł w stronę, gdzie przywiązany był jego koń, rozmyślając nad tym, jak ostatnio Jakub ograniczał swoje ruchy, gdy wspólnie trenowali. Widać było, że nie chciał okazać się lepszym od swego pana i mentora. Alban dostrzegwał w swym podopiecznym chęć do nauki. Wyczuwał, że chłopak czerpie przyjemność ze swoich rosnących ciągle umiejętności w posługiwaniu się mieczem, kijem, włócznią i łukiem. Lecz jednocześnie Alban czuł, że Jakub traktuje to wszystko jako część fascynującej przygody, podczas gdy on dobrze wiedział, jak bardzo niebezpieczne stały się w ostatnim czasie drogi Judei i Samarii. Był to jeden z powodów, dla których Alban chciał jak najszybciej odwieść Jakuba od wykonywania zawodu żołnierza. Bał się, że Jakub odrzuci szansę, którą mu oferuje. Tłumaczenia Albana jedynie pogarszały sytuację, groziły wręcz zniszczeniem ich wzajemnej relacji.

Słyszając zawodzący głos mistrza karawany Alban dosiadł konia i przenikliwym gwizdnięciem dał znak pozostałym strażnikom. Wraz z Jakubem ukłonili się Jamalowi, gdy mijali jego namiot, po czym rozpoczęli nowy dzień i nową podróż.

Alban wiedział w sercu, że tego dnia nie ma co liczyć na pokojowe stosunki z Jakubem.



Ich karawana schodziła w dół z przedmieść Tyberiady w kierunku równin na południowym zachodzie. Dopiero rozpoczął się listopad, lecz wiatr niósł ze sobą chłód, bardziej przenikliwy niż w lutym. Powietrze było ciężkie, zapowiadało się na deszcz. Wielbłądy parskwały i nie chciały iść, a krzyki poganiaczy tłumił narastający wiatr. Bandyci wykorzystywali taki wiatr i deszcz, by

zniecka zaatakować. Alban dał ręką sygnał, nakazując dziewięciu zbrojnym mężczyznom, by zaczęli krążyć wokół karawany. Oddziałek Jakuba pojechał w jedną stronę, a ludzie Albana w drugą. W ten sposób otaczali karawanę ciasną pętlą, a ich ścieżki raz po raz się przeplatały. Alban nauczył się tego sposobu, służąc w rzymskich oddziałach.

Późnym popołudniem karawana wciąż podążała bezpiecznie naprzód, a wiatr ucichł, lecz Alban i jego ludzie byli wyczerpani. Rozbili obóz tuż przy rzymskim garnizonie stacjonującym u wejścia na równinę Megiddo. Alban dał ludziom rozkaz, by rozsiadali konie i dali im dodatkową porcję paszy. Sam rozpoczął pieszo patrolowanie, choć niczego bardziej nie pragnął, niż zjeść coś i odpocząć. Bolały go wszystkie kości. Tęsknił za Leą i ich ślicznym synkiem, których zostawił bezpiecznych, w domu na obrzeżach Kafarnaum. Westchnął, zastanawiając się, czy nie jest już za stary na taką pracę.

Jakub podszedł do niego, niosąc w bukłaku chłodną herbatę i posiłek – suszone mięso z cebulą, zawinięte w placek chlebowy. Chłopak szedł razem z nim, podczas gdy Alban jadł i pił. Gdy skończył się posilać, wytarł usta dłonią i powtórzył słowa, które wypowiedział rano:

– Chciałbym, Jakubie, aby między nami był pokój.

Chłopak najwyraźniej tego oczekiwał, bo odpowiedział od razu:

– To w takim razie nie wspominaj już więcej o swoim pomysle.

– Jakubie, ale to jest dobry plan.

– Nie, nie dla mnie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Alban starał się, by jego głos brzmiał spokojnie, choć wymagało to ogromnego wysiłku i samokontroli.

– Zastanawiam się, czy to nie jest Boża wola dla ciebie, przyjacielu.

Alban dostrzegł, że Jakub zwraca się ku niemu. Nie powiedział nic więcej, tylko nadal szedł obok chłopaka.

– Rozmawiam z Bogiem. Codziennie – rzekł w końcu Jakub.
– I *mnie* nic o tym nie powiedział.

Alban miał właśnie odpowiedzieć, że jest tak być może dlatego, iż Jakub jest uparty i zamiast *zapytać* Boga, tylko chce *oznajmić* Mu swoją wolę. Gdy jednak obejrzał się na Jakuba przez ramię, dostrzegł, że jego rysy są napięte od ledwie powstrzymanego gniewu. Chłopak skulił ramiona, niczym wojownik szykujący się do natarcia. W tym momencie wyglądał na dziesięć lat starszego niż był w rzeczywistości.

Alban wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. Chłopak, którego kochał i o którego troszczył się jak o własnego syna, teraz był mężczyzną i sam decydował o sobie, na swoją korzyść lub zgubę.

– Wedle tradycji twego ludu stałeś się mężczyzną, gdy skończyłeś trzynaście lat – rzekł.

– A teraz powiesz mi, że mam słuchać mojej starszyny, tak?
– parsknął Jakub.

– Nie, Jakubie. Przyznaję, że chciałbym tak powiedzieć, ale tego nie zrobię.

Alban wskazał na rzymską drogę, którą właśnie podążali, biegnącą prosto, znikającą za najbliższym nisko położonym wzgórzem.

– Za tymi pierwszymi wzgórzami leży dolina Tyberiady, którą widać z zamku Heroda. Potem jest Jezioro Galilejskie, a potem teren Partów.

– Ja to wszystko wiem, przerabiałeś ze mną te lekcje całym latami.

– Wysłuchaj mnie. Czy proszę o zbyt wiele? – Alban położył dłonie na ramionach Jakuba i odwrócił go w kierunku południowego zachodu. – Tam leży Samaria, rojąca się od bandytów i zelotów. Wszyscy czają się na karawany takie jak nasza, czekają na dobrą okazję do ataku. Za nimi czyhają książęta z arabskiej pustyni, których wodzowie niczego bardziej nie pragną jak zagarnąć bogatą karawanę, a potem twierdzić, że zaginęła gdzieś na tym pustkowiu. Na północy mamy Liban, gdzie dumni niegdyś Fenicjanie zaczęli żyć z piractwa i plądrowania.

Alban widział, jak Jakub mruży oczy. Patrzył w dal, jak gdyby szukał tam czegoś, czego nie był w stanie dostrzec. Alban ucieszył się, że przynajmniej teraz chłopak słucha go uważnie.

– Próbuję ci powiedzieć, że jeśli zostaniesz przy tym zajęciu, które teraz wykonujemy, prędzej czy później będziesz zmuszony zabić człowieka. Czy jesteś w stanie żyć z taką plamą na swojej duszy?

– Ty jakoś żyjesz – stwierdził Jakub nie patrząc na niego.

– Jakubie, ja nie znam innego życia. Od dzieciństwa uczyłem się władać mieczem, włócznią i łukiem. Walczę, żeby się bronić, żeby zranić przeciwnika. Ale już więcej nie będę zabijać – zamilkł na chwilę i patrzył na Jakuba, aż ten odwrócił głowę w jego kierunku. – Lecz, Jakubie, nie mogę wytrenować ciebie w taki sam sposób i mieć nadzieję, że pozostaniesz żywy.

Jakub popatrzył na niego z taką intensywnością, że Albanowi trudno było wytrzymać spojrzenie młodzieńca.

– Do tej pory robiłem to samo, co ty.

– Być może mógłbyś też to kontynuować. Lecz czai się tu wielkie ryzyko, zwłaszcza dla kogoś, kto jeszcze nie przeszedł przez ogień walki i nie wyszedł z tego ranny, ale żywy.

Jakub powoli pokiwał głową.

– Rozumiem.

Alban poczuł przyływ nadziei. Powtórzył słowa, od których rozpoczęła się ich ostatnia sprzeczka.

– W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy trzy z moich karawan zostały zaatakowane przez bandytów. Wszystkie trzy uratowaliśmy od grabieży. Jamal zaoferował mi w nagrodę miejsce handlowe w Samarii.

– Tak, wiem – powiedział Jakub lekko zniecierpliwionym tonem. – Ale nie myślisz o tym, by samemu nim zarządzać. Dlaczego uważasz, że ja...

– Jamal wyraźnie dał mi do zrozumienia, żebym znalazł kogoś innego, kto będzie zarządzał straganem. Chce, żebym ja dalej jeździł z karawanami.

Był to ruch godny Jamala, najsprytniejszego kupca, jakiego Alban znał. Jamal opowiedział mu, jak kiedyś przejął jeden stragan po wdowie. Jej nieboszczyk mąż, przyjaciel Jamala, nie tylko zostawił ją samą, lecz również z ogromnym długiem do spłacenia. Jamal nie tylko zgodził się na spłatę w późniejszym terminie, nie tylko oczyścił dom kobiety z wszelkich długów, lecz również zostawił jej wystarczająco dużo srebra, by mogła się utrzymać przez całe lata.

Jamal wysyłał wielu kolejnych podwładnych, by za niego kierowali interesem. Był jednak przekonany, że wszyscy ci słudzy go okradali. Alban myślał, że Jamal ma pewnie rację. Sklepik stał na skrzyżowaniu czterech najbardziej ruchliwych dróg w Judei, a od lat nie przynosił dochodów. Dlatego też kupiec sprezentował go Albanowi jako lojalnemu kapitanowi straży, który zasłużył na taką nagrodę za dobrze wykonaną pracę. Obaj przy

tym wiedzieli, że Jamala nic to nie kosztuje, natomiast stwarza szansę uwolnienia się od kłopotu.

Alban zamilkł na chwilę, gdy zdał sobie sprawę, że wyraża swe myśli na głos. Jakub nic nie mówił, szedł tylko obok, skupiając uwagę na równinach rozciągających się poza granicami ich obozu. Jednak od czasu do czasu zerkał na Albana. Wykazywał się cierpliwością myśliwego.

– Wybacz. Chyba jestem bardziej zmęczony niż mi się wydawało – powiedział w końcu Alban.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze.

– Pali mnie w piersi – przyznał Alban.

– Idź odpocząć. Ja mogę wziąć pierwszą wartę.

– Wiem, że możesz – Alban odkaszlnął i schylił się czując, jak z jego ciała uchodzi powietrze i cała energia. Dłoń Jakuba wślizgnęła się pod jego ramię i młody mężczyzna łatwo go podtrzymał. Alban powoli się wyprostował i jeszcze raz przypomniał sobie, że jego towarzysz nie jest już chłopcem.

– Prześpij spokojnie całą noc – powiedział Jakub. – Ja zajmę się wyznaczeniem kolejnych wart.

Alban już się odwracał, by odejść, lecz zatrzymał się i zapytał jeszcze raz:

– Jesteś pewien, że nie chcesz pracować na tym straganie w Samarii?

– Niewiele jest rzeczy – odparł Jakub – których bym pragnął jeszcze mniej niż tego.

– To powiedz mi proszę, *co* ty byś tak naprawdę chciał?

Jakub zwrócił twarz w kierunku zachodzącego słońca.

– Sam chciałbym to wiedzieć.



ROZDZIAŁ TRZECI

Jerozolima

Abigail szła szybkim krokiem boczną alejką, jedną ręką przyciskając pakunek do podbródka, a drugą przytrzymując przednią część szaty. Przedtem długo rozważała, czy wziąć ze sobą koszyk na warzywa, gdyby przyszło jej odpowiadać na pytania, co robi sama na ulicy. Jak się okazało, niepotrzebnie. Wiatr hulał straszliwie, wyjąc i wdzierając się w pustą przestrzeń. Niebo pociemniało, niczym w godzinę po zachodzie słońca, choć w rzeczywistości było to wczesne popołudnie. Obok niej przemknęło kilkoro innych ludzi, osłaniając głowy od wichury, ale nikt jej nie zaczepił.

Okrzyżła południowo-wschodni plac miasta, ten, na którym stała synagoga Libertynów. Choć od tamtego dnia minęło już pięć lat, Abigail wciąż unikała miejsca, w którym tłum porwał jej ukochanego Szczepana, by poprowadzić go przed Sanhedryn. A potem pojawił się dodatkowy powód, by trzymać się bocznych

uliczek: plac ten stał się miejscem spotkań tych, którzy prześladowali wyznawców Drogi.

Zbliżając się do Bramy Esseńczyków, Abigail zauważyła cztery kobiety niosące dzbany z oliwą i kosze zakryte wilgotnymi szmatkami, chroniącymi ich zawartość przed kurzem. Domyśliła się, że one też idą na miejsce postoju karawan za miastem i przyspieszyła kroku, by do nich dołączyć. Dwóch rzymskich strażników, którzy skulili się przy wewnętrznym murze dla ochrony przed wiatrem, ledwo spojrzęło na przechodzące kobiety.

Na równinie poza murami miasta niczym nieskrępowany wiatr prawie uniemożliwiał posuwanie się naprzód. Abigail, starając się przekrzyczeć huk wichru, spytała jedną z kobiet, gdzie może znaleźć karawanę Jamala. Nagle usłyszała wołanie i zobaczyła, że ktoś wyłania się ze szczeliny w zewnętrznym murze.

– Cześć, siostro! – krzyknął i podbiegł do niej.

– Jakub! – wciąż ją to zadziwiało, że musi podnosić ręce do góry, by uściskać brata. Choć poprzednio widziała go zaledwie cztery miesiące temu, wydało jej się, że znów urósł o szerokość dłoni. Gdy go przytulała, barki Jakuba były twarde jak kamienne mury.

– Kiedy przyjechaliście?

– Trzy wieczory temu.

– To dlaczego...? – jednak Abigail powstrzymała się od dokończenia pytania. Brat prowadził ją do pobliskiego namiotu o dziwnej konstrukcji, z podwójnymi ścianami i bardziej kwadratowego niż znane jej schronienia Judejczyków. Zewnętrzny dach przypięty był pod kątem, niczym żagiel, podczas gdy ścianę wewnętrzną stanowił gruby dywan pasujący do tego, który mieli pod stopami. Podwójne ściany były tak solidne, że gdy opadła za nimi wejściowa zasłona, lampy oliwne w namiocie paliły się

bez problemu, ledwie migocąc. Teraz, gdy wycie wiatru zostało stłumione, Abigail nie potrzebowała już podnosić głosu.

– Tak się cieszę, bracie, że cię widzę, ale dlaczego nie przyśzedłeś się ze mną zobaczyć, tylko wysłałeś wiadomość?

– Jesteśmy obserwowani.

Abigail patrzyła na tego tajemniczego obcego człowieka, który tylko przypominał jej tego brata, którego znała w przeszłości. Za każdym razem, kiedy przybywał do Jerozolimy, widziała w nim tylko odblask kogoś, kogo kiedyś dobrze znała. A teraz znów zauważyła, że od ich ostatniego spotkania w Jakubie zaszły kolejne zmiany. Coś wstrząsnęło jego światem i chłopak, którego znała i kochała stawał się mężczyzną.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Czają się w okolicy postoju karawan. Są uzbrojeni w kije. Gdy strażnicy pytają, czego tu szukają, odpowiadają zaczepkami, jakby byli rzymskimi żołnierzami albo strażnikami świątynnymi. Tyle tylko, że ci mężczyźni są zwykłymi Judejczykami, nie noszą żadnych oficjalnych szat.

– Wiem, o kim mówisz – odparła cicho Abigail i poczuła, jak przez jej ciało przebiega dreszcz. – Spotykają się w synagodze Libertynów.

– Tam gdzie kiedyś nauczał Szczepan? – Jakub potrząsnął głową. – *Konieczn*ie musisz opuścić to miasto, siostr

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnęła Abigail. – Wielokrotnie. Tu jest moje miejsce, Jakubie.

Spodziewała się, że Jakub będzie się z nią kłócił. Tak jak ze szłym razem, gdy przyjechał do miasta. I wcześniej też. Prawdę mówiąc, zagrożenie dla wierzących było wcześniej na tyle mało zauważalne, że przez większość czasu mogła je po prostu ignorować. Ale wiedziała, że Jakub również wyczuwa narastające na-

pięcie i ryzyko. Abigail przygotowywała się do kolejnej dyskusji na ten temat. Nie miała zamiaru opuszczać miasta, w którym poznała, pokochała, poślubiła i straciła swojego męża, a potem urodziła jego dziecko.

Jednak Jakub powiedział tylko:

– Wybacz mi, Abigail. Nawet cię nie zapytałem, czy chciałaś coś do jedzenia lub picia.

Rezerwa w głosie i postawie Jakuba sprawiła, że Abigail nie wiedziała, jak zareagować. W końcu powiedziała:

– Chętnie napiję się herbaty, jeśli masz.

– Oczywiście.

Wszedł za zasłonę przedzielającą namiot na pół. Abigail wydawało się, że dostrzegła tam w półmroku jeszcze jedną postać, lecz nie była pewna. Jakub szybko wrócił i wręczył jej kubek.

– Może chcesz daktyli?

– Dziękuję, bracie, nie jestem głodna.

– Czyli masz co jeść na co dzień?

– O, tak. Dobrze się tu o nas troszczą.

– Zacząłem się martwić. Jeden z moich ludzi był najpierw w podwórzu na starym mieście i zastał je opuszczone. Jedyne przypadkiem znalazłem sklepikarza, który jest wierzący i wiedział, dokąd się przenieśliście – Jakub przekrzywił głowę. – Cemu się uśmiechasz?

– Jeden z twoich ludzi – powtórzyła Abigail i zaśmiała się cicho. – Ależ wyrosłeś.

Jakub uśmiechnął się krótko i przez chwilę znów widać w nim było małego chłopca. Zaraz jednak spoważniał.

– Jest coś, co musisz... zobaczyć.

Jego oczy jeszcze bardziej pociemniały.

– Co się stało, Jakubie? Czy chodzi o Albana?

Jakub odsłonił zasłonę oddzielającą drugą część namiotu.

– Chodź.



Jakub był świadomy, że jego zachowanie niepokoi Abigail. Pragnął zrobić coś, co zmniejszyłoby dystans między nimi, lecz tak naprawdę czuł się udręczony kłopotami, które go przerastały. Gdy Abigail zobaczyła leżącą na posłaniu postać, cofnęła się.

– Nie bój się, siostrze – rzekł Jakub. – Tak, zgadłaś, to jest Alban.

Jej twarz wykrzywiła się ze strachu, a ręka zakryła usta.

Jakub przybliżył lampę oliwną do chorego. Twarz Albana była mokra od potu. Miał gorączkę i zapadnięte policzki. Jego na wpół przymknięte oczy lśniły w świetle lampy, a usta wykrzywiły się lekko w uśmiechu.

– Witaj, moja droga – zachrypiał cicho.

Abigail klękła obok jego łoża.

– Co ci się stało, Albanie?

– Zapewniam cię, że to wygląda znacznie gorzej niż... – reszty zdania nie dał mu dokończyć kaszel, który wstrząsnął całym jego ciałem.

Jakub pomógł mu się unieść, podtrzymał go i podsunął mu do ust kubek z chłodną herbatą.

– Herbata jest posłodzona miodem – powiedział cicho do Abigail. – To pomaga na gardło.

Alban napił się, skinął głową i pozwolił, by Jakub położył mu głowę z powrotem na poduszce.

– Już strasznie mi się przejadł ten miód – wymruczał.

– Jak długo jesteś w takim stanie? – jej głos był tak samo przeżony jak wyraz jej twarzy.

Jakub odpowiedział za swego opiekuna:

– Czuł się nie najlepiej, gdy wyruszyliśmy z Tyberiady. Z każdym kolejnym dniem podróży jego stan się pogarszał. Razem to już dwanaście dni.

– Dajesz radę jeść? – spytała Albana.

Jakub znów odpowiedział za niego.

– Bardzo niewiele.

– Bez obaw, Jakub robi co może, żeby mnie podtuczyć.

– Mamy wyruszyć jutro – powiedział Jakub do Abigail. – Mistrz karawany odwlekał wyjazd mając nadzieję, że Alban wyzdrowieje. Ale wieziemy świeże zapasy do Cezarei. Nie możemy dłużej zwlekać.

– Nie możesz podróżować w takim stanie – powiedziała szybko Abigail, zerkając znów na wykrzywioną bólem twarz Albana.

Ten wydawał się gotów do dyskusowania z nią, lecz Jakub położył mu dłoń na ramieniu. To nieme upomnienie wystarczyło.

– Czy nie będę zbyt ciężarem dla ciebie i innych wierzących? – spytał Alban.

– Jak możesz w ogóle tak myśleć?

– Mamy bardzo trudne czasy i...

– Nie rozumiem, dlaczego tak długo czekaliście, by poprosić nas o pomoc.

– On chciał jechać dalej z karawaną – wyjaśnił Jakub.

Abigail przejechała dłonią wzdłuż pośłania Albana.

– Wykluczone.

– I obaj baliśmy się tych, którzy nas obserwują – dokończył Jakub.

Zauważył zatroskaną minę Abigail. W środku czuł to samo. Nazwane po imieniu zagrożenie nabrało siły, stało się bardziej rzeczywiste.

– A gdzie oni są teraz? – zapytała Abigail.

– Po południu, gdy wiatr się wzmógł, poszli sobie – odrzekł Jakub.

– W takim razie musimy się pospieszyć – Abigail zwróciła się do Jakuba, patrząc cały czas na chorego. – Są tu jacyś ludzie, którzy pomogą nam go przenieść?

– To zbyt niebezpieczne – Jakub spędził wiele godzin obmyślając różne rozwiązania. – Musimy tak go przenieść, żeby nikt nie wiedział, kto opuścił obóz.

– Ale sam przecież powiedziałaś, że ci, co was obserwowali, już sobie poszli.

– Tak, ale nie wiemy, czy nie mają szpiegów w obozie.

Jakub nie chciał martwić siostry jeszcze bardziej, ale musiała zrozumieć, jak wielkie jest ryzyko.

– Oni nie obserwowali całego obozu. Chcieli znaleźć konkretną...

– Czy oni... oni przyszli po ciebie, Jakubie? – odwróciła się szybko do niego mówiąc te słowa.

– Myślę, że nie byli pewni, kogo szukają. Gdyby chodziło im o Albana lub o mnie, to by przyszli i spytali po imieniu.

– I dlatego nie powinniśmy cię w to mieszać, Abigail – powiedział Alban. – Nie powinienem był proponować...

– Ja *już jestem* w to zamieszana, Albanie – machnęła rękami, dodając: – Jestem w to *zamieszana* od dnia, kiedy uratowałeś mojego brata.

Alban nic nie odpowiedział. Jego oczy błyszczały od gorączki, a oddech był chrapliwy.

– Mam plan – powiedział Jakub.



Gdy Jakub wynurzył się z namiotu, niebo miało kolor grafitowy. Ponurą szarość ożywiały odbłaski popołudniowego światła. Jakub przeszedł do najbliższej zagrody, gdzie tłoczyło się sześć osłów, odwróconych tyłem do wiatru. Jakub przepchnął się pomiędzy nimi i pociągnął liny, którymi uwiązane były dwa najmłodsze. Jeden z nich ryknął w ramach protestu, po czym posłusznie poszedł z Jakubem.

Młody mężczyzna przyniósł koce i siodła. Stojący po jego prawej stronie osioł odwrócił się, by śledzić jego ruchy. Oczy zwierzęcia, otoczone białymi kręgami, kryły w sobie lekkie zdziwienie. Jego boki drżały z chłodu, lecz osioł nie stawiał oporu.

Gdy Jakub wyciągnął zza paska dwie szmatki i przykrył nimi oczy zwierzęcia, jakiś głos powiedział:

– A więc wyjeżdżasz.

Jakub odwrócił się i zobaczył Latifa, judejskiego poganiacza z przedmieść Damaszku. Miał ciche, spokojne usposobienie i obchodził się łagodnie z wielbłędami. On też był wyznawcą Drogi. Jakub przekonał się o tym w często praktykowany w tych czasach sposób. Wystarczyło jedno ciche słowo, wypowiedziane o świcie przez Latifa, skierowane tylko do Jakuba, które ktoś niewtajemniczony łatwo mógłby zignorować. A w kolejnych dniach obaj uważnie się obserwowali i zaprzyjaźniali się.

– Albanowi się nie polepsza – odparł Jakub. – Muszę go zabrać w bezpieczne miejsce.

Nawet w grubym ubraniu Latif był człowiekiem niepozornej budowy, choć jego smukłe ciało kryło w sobie zadziwiającą siłę.

– Bezpieczne? Nie użyłbym takiego słowa jeśli chodzi o naszych ludzi, a już zwłaszcza nie w Jerozolimie.

– Tak czy inaczej, lepiej mu będzie tutaj niż gdyby miał z nami jechać do Cezarei.

Latif sięgnął ręką do osła i pogłaskał go po nosie. Zwierzę zarżało cicho, czując znajomy zapach.

– Nie spiesz się z powrotem. Zostań z nimi przez noc. Chodzenie po ulicach po zmierzchu jest niebezpieczne. A ja wezmę za ciebie wartę.

Jakub skinął głową.

– Dobrze mi zrobi spędzenie kilku godzin z przyjaciółmi.

– Powiedz Albanowi, że będę się modlił, by szybko powrócił do zdrowia – Latif pogładził osła między uszami. – Mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu?

– Oczywiście.

– To są niepewne czasy. Potrzeba mi... przyjaciela.

Jakub zauważył, jak mężczyzna rzuca nerwowe spojrzenia we wszystkich kierunkach. Dłoń, która przed chwilą głaskała zwierzę, teraz drżała.

Latif mówił dalej, a jego głos zniżył się niemal do szeptu.

– Służę naszej społeczności w bardzo poufny sposób.

– Nie rozumiem.

– Jestem kurierem. Ryzykujemy życiem, by wierzący z różnych miejsc mieli ze sobą kontakt. Im dalej od Jerozolimy się rozprzestrzeniaamy, tym bardziej niezbędna staje się nasza praca.

Jakub przysunął się do Latifa, choć nikogo nie było w pobliżu. Właściwie to całe miejsce postoju karawan wydawało się opustoszałe. Namioty w obozie pochylały się pod dyktando wiatru w jedną stronę jak zwijane żagle. Liny wydawały przeciągły odgłos podobny do jęku. Wielbłądy, trwające w pozycji klęczącej, spokojnie przeżuwały pokarm. Nawet okolice studni, przy których zawsze krzątało się dużo osób, były teraz puste.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Jakub.

– Obawiam się, że zauszniccy świątynni chcą mnie dopaść.

Bo z jakiego innego powodu by się tu czaili i obserwowali nas jak sępy?

– Powodów może być mnóstwo.

Mimo chłodu na czole Latifa pojawiły się kropelki potu. Jakub poczuł, że ten człowiek bardzo się boi.

– Wiedzą, że jest w tym obozie kurier i mają nadzieję, że mnie wykurzą. Czuję to w trzewiach.

Jakub wątpił, by przypuszczenia Latifa były zgodne z prawdą. Ale było dla niego jasne, że cokolwiek by powiedział, nie zmniejszyłoby to niepokoju Latifa.

– Co chcesz, żebym zrobił?

Oczy Latifa jeszcze raz przebiegły bezludną okolicę, po czym mężczyzna wsunął dłoń w poły ubrania. Wyciągnął skórzaną wąską torebkę.

– Weź. Miałem to dać komuś innemu, kto też jedzie do Tyberiady, ale jestem obserwowany i nie mogę z nim nawiązać kontaktu. To nie może wpaść w ich ręce. Dobrze to ukryj.

– Ale co ja mam z tym zrobić? – w pierwszej chwili Jakub miał ochotę się cofnąć, lecz zmusił się do pozostania w miejscu i wysłuchania przyjaciela.

– Jeśli się mylę i wyjedziemy stąd bezpiecznie, możesz mi to oddać z powrotem. I zapomnieć o całej tej rozmowie. Ale ja się nie mylę.

Wepchnął sakiewkę w rękę Jakuba.

– Jeśli mnie zabiorą, wróc do Tyberiady najszybciej jak się da.

Latif szybko i dokładnie wyjaśnił, jakie kroki będzie musiał podjąć Jakub. Od czasu do czasu przerywał na chwilę i kazał Jakubowi powtórzyć instrukcje. Wynikało z nich, że po przybyciu do obozu w Tyberiadzie ktoś podejdzie do Jakuba w zagrodzie dla wielbłądów. Jakub winien mieć na głowie czerwoną przepa-

skę, a w rękę koszyk z ziołami potrzebnymi do leczenia zwierząt. Ma wypowiedzieć zdanie, które Latif kazał mu powtórzyć kilka razy, aż upewnił się, że Jakub je dobrze zapamiętał. Gdy wypowie te słowa, druga osoba odpowie, rysując na piasku znak ryby. Wtedy Jakub też ma narysować znak ryby. I dopiero wtedy ma dać tej osobie sakiewkę.

Latif zakończył jeszcze jednym ostrzeżeniem.

– Musi być dokładnie tak jak ci powiedziałem. I bądź ostrożny. Oczy szpiegów są wszędzie. A teraz powiedz, zapamiętałeś wszystko krok po kroku?

– Tak, tak sądzę, ale...

– W tych sprawach nie możesz się wahać, Jakubie.

– Oczywiście – Jakub próbował przełknąć ślinę.

– A jeśli mnie zabiorą, powierzam twojej opiece moje trzy wielbłądy. Jamal dał mi specjalne zadanie, abym...

– To ty masz podwójną misję?

– Dwie misje. Oddzielne. Jedna z drugą nie ma nic wspólnego.

– Najwidoczniej jesteś człowiekiem godnym zaufania.

– A ja z kolei zufałem tobie w przypadku obu tych misji – głową Latifa wstrząsnęło coś na kształt nerwowego tiku. – Pilnuj tej paczki, Jakubie. Strzeż moich wielbłądów – kontynuował proszącym tonem, a jego ciemne oczy wyrażały o wiele więcej niż słowa. – No, idź już. A jeśli mnie zabiorą, módl się za mnie.

Jakub chciał zaprotestować, lecz mężczyzna odwrócił się i pospiesznie odszedł. Chłopak wsunął sakiewkę w poły szaty, przymocowawszy ją ciasno na brzuchu i poprawił pasek. Próbował się pocieszać, że obawy Latifa to tylko wytwór nerwów i wyobraźni. Wszyscy uczestnicy karawan byli znużeni długą drogą i burzą. Lecz gdy skierował się w stronę namiotu, poczuł jak sakiewka ociera się o jego skórę. Lęki Latifa zdawały się emano-

wać z pakunku i przenikać głęboko do wnętrzości Jakuba. Nie mógł się doczekać jutra, kiedy odda sakiewkę i zapomni, że cała ta wymiana zdań w ogóle miała miejsce.



Osy miały oczy osłonięte dla ochrony przed wirującym w powietrzu pyłem, więc nie opierały się, gdy Albana wsadzano na siodło. Mężczyzna był tak słaby, że Abigail i Jakub musieli razem pomagać mu dosiąść osła. Jakub nie pamiętał, by Alban kiedykolwiek wcześniej potrzebował jakiegokolwiek pomocy. Gdy sobie to uświadomił, tym trudniej było mu się z nim rozstać.

– Jesteś pewny, że dasz radę utrzymać się w siodle?

– To dobry plan – odpowiedział Alban, lekko kaszłąc. – I miałeś rację nalegając, bym został w Jerozolimie.

Abigail rzuciła Jakubowi szybkie spojrzenie. Fakt, że Alban to tak otwarcie przyznał, był naprawdę niepokojący.

– Bądź gotowa, żeby go podtrzymać – powiedział półgłosem Jakub, gdy podsadzał Abigail, dosiadając drugiego osła. Podprowadził go, by stanął obok osła Albana.

– Nic mi nie będzie – powiedział Alban.

Zarówno Alban, jak i Abigail ubrani byli tak, jak zwykli to czynić mieszkańcy Damaszku: w zwiewne szaty w kolorze złota, z kapturami ocieniającymi twarze. Ubiór kobiety różnił się od męskiego tylko tym, że kaptur obrębiały frędzle, które teraz dziko łopotały na wietrze. Jakub, odziany w szatę syryjskiego służącego, szarą, przewiazaną paskiem z materiału, chwycił lejce i pociągnął osły naprzód.

Wichura ucichła nieco, więc rzymscy strażnicy wrócili na swoje posterunki poza bramami miasta. W wielkim metalowym koszu paliło się kilka kawałków drewna, które rzucały strumie-

nie iskier w kierunku wieczornego nieba. Choć Jakub ukrył wcześniej skórzaną torbę pod dywanami w swoim namiocie, to jednak, gdy zbliżali się do bramy, wciąż czuł, jakby paliła mu skórę na brzuchu. Strażnicy stali stłoczeni tuż przy murze i przyglądali im się ponuro, lecz żaden o nic nie zapytał.

Uszli spory kawałek w kierunku wschodnim, odbijając od placu przed synagogą Libertynów, niepotrzebnie, gdyż ulice Jeruzolimy były w dużej mierze opustoszałe. Straganiarze w większości pozamykali już okiennice swych sklepów i rozeszli się do domów, aby się ogrzać i posilić. Wiatr smagał dachy domów, dudniąc niczym olbrzymi bęben. Jakub biegł truchtem, poprzędzając osły. Jedynymi dźwiękami, które mieszały się z jednostajnym stukotem kopyt, były ciche wskazówki co do drogi dawane przez Abigail i – od czasu do czasu – pokasływanie Albana.

Wkrótce Jakub zorientował się w położeniu i nie potrzebował już dalszych podpowiedzi. Zatrzymał się przed znajomą bramą i głośno zastukał laską. Twarz, która wśród zapadających ciemności pojawiła się we wbudowanym w bramę okienku, przyjrzała się badawczo Jakubowi i dwójce zakapturzonych jeźdźców.

– Zamknięte – warknął brodaty mężczyzna. – Przyjdźcie jutro.

– To ja, mistrzu.

– Nie znam cię.

– Jakub. Byłem kiedyś uczniem w twoim zakładzie stolarskim. Wpuść nas. Proszę.

– Jakub... – z powątpiewaniem wyteżał wzrok w gęstniejącym mroku. – Jakoś sobie nie...

– Kiedyś powiedziałeś, że jestem dobry jedynie w podpieraniu bocznej ściany.

– Czy to możliwe? – dało się słyszeć odsuwanie rygla i po chwili cieśla otworzył im drzwi. – Wielkie nieba, to naprawdę ty!

– Tak jak rzekłem – Jakub wprowadził do środka osły, a mężczyzna szybko zamknął i zaryglował bramę.

– Pomóż mi z Albanem.

– To Alban też jest tutaj? I Abigail, jak widzę! Przebrani za cudzoziemców! – cieśla pomógł postawić Albana na ziemi. – Co ci się stało, dobry człowieku?

– Nic takiego – odparł Alban rżąc. Podróż bardzo go zmęczyła. – To tylko kaszel...

– I gorączka tak wysoka, że może go strawić od środka – dodał Jakub przywiązując zwierzęta. – Nasza karawana musi jutro wyjechać, zaś Alban potrzebuje więcej czasu, żeby się podleczyć i odpocząć.

Abigail powitała postawnego gospodarza i spytała:

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby? Mogę się przeprowadzić...

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Dla przyjaciela w potrzebie? Oczywiście, że się znajdzie! – cieśla wsunął głowę pod drugie ramię Albana. – Chodź, bracie, i ogrzej zmarznięte kości przy ogniu.

– Nie chcę ci robić kłopotu – powiedział Alban.

– Zapłacimy ci – wtrącił Jakub.

– Nie chcę o tym słyszeć. Nie będzie żadnej zapłaty – cieśla zerknął znad pochylonej głowy Albana. – Wyglądasz, Jakubie, jakbyś był swoim starszym bratem. Ile to czasu żeśmy się nie widzieli...?

– Pięć lat.

– I to długich lat. Lecz sądząc po twoim wyglądzie, nie zmarnowałeś tego czasu.

– Jakub jest teraz moją prawą ręką – wyrzucił Alban.

Abigail szła za mężczyznami.

– A zatem, Albanie, Jakub zajmie się należycie twoją karawaną, a ty możesz spokojnie odpocząć i wyzdrowieć zanim wrócisz do swojej Lei.

Alban znów zaniósł się kaszlem i pewnie zgiąłby się w pół, gdyby nie dwaj mężczyźni podtrzymujący go za ramiona. Gdy atak kaszlu się skończył, Alban rzekł:

– Tak, już zbyt długo nie widziałem Lei... i naszego synka, Gabriela.

Samo wypowiedanie ich imion zdawało się wygładzać zmarszczki na jego twarzy spowodowane bólem i zmęczeniem.

– Troszczymy się tu jedni o drugich – cieśla był prostym człowiekiem o dłoniach tak wielkich jak drewniane młoty, których używał w pracy. Przeprowadził Albana przez znajome drzwi do pomieszczenia, które Jakub pamiętał jako główną pracownię.

– Jesteśmy złączeni jako rodzina w Panu. Oczywiście, że ci pomożemy i nim się obejrzysz, będziesz gotów powrócić do domu, do żony i dziecka.

Pracownia była wymieciona, a narzędzia pochowane. W wysokiej komnacie, oświetlonej blaskiem pochodni znajdowały się stoły, przy których siedziało około trzydziestu osób. Z drugiej strony pomieszczenia otworzyły się duże drzwi prowadzące do schowka na drewno i ukończone wyroby. Było to miejsce pełne ciepła i przyjazne. Nowo przybyłych powitały uśmiechy i skinienia głów.

Jakub usiadł przy stole z mężczyznami, a Abigail po drugiej stronie z kobietami. Albanowi dano jedno z niewielu krzeseł postawionych obok wielkiego pieca, by się ogrzał.

Jozjasz, mistrz stolarski, wyszedł przed zgromadzonych i rozpostarł szeroko ramiona, jakby chciał ich wszystkich objąć.

– *W imieniu naszego zmartwychwstałego Pana...* – zaczął śpiewać.

Jakub pochylił głowę wraz z innymi. Mężczyźni kołysali się w przód i w tył, z zapalem odpowiadając „Amen”, gdy Jozjasz skończył. Wszyscy zaśpiewali psalm, po którym nastąpiła kolejna modlitwa i pieśń. Zaraz potem młode kobiety rozniosły miski z pachnącą potrawą.

Jakub trzymał swoją miskę tuż pod brodą i jadł wraz z innymi. Odpowiadał, gdy ktoś go o coś zapytał, lecz głównie słuchał, co mówią inni.

Gdy kobiety zbierały naczynia po jedzeniu, Abigail przysunęła się bliżej Jakuba.

– Mamy tak mało czasu razem, bracie.

Jakub z pochmurnym wzrokiem skinął głową. To prawda. Zawsze zatrzymywał się na krótko, gdy przyjeżdżał z karawaną. Jednocześnie pragnął przekonać Abigail, żeby opuściła to miasto. Jerozolima naprawdę nie była odpowiednim miejscem dla niej i dla jej córeczki. Czułby się znacznie spokojniejszy, gdyby Abigail zgodziła się zamieszkać na północy kraju, blisko Lei. Ale nie powiedział tego głośno. Siostra już wielokrotnie słyszała jego opinię na ten temat. Zamiast tego spytał:

– A gdzie mała?

– Śpi na górze – twarz Abigail rozjaśnił uśmiech. – Nie tylko ty tak bardzo urosłeś.

– Mieszkacie teraz tutaj?

– Od sześciu miesięcy. Odkąd... odkąd w wieczerniku, gdzie dzieliliśmy ostatnią wieczerzę z naszym Panem, zjawili się jacyś

mężczyźni – Abigail wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Nadal służę sierotom i wdowom, tak jak niegdyś Szczepan, i akurat mnie wtedy nie było. Ale troje naszych przyjaciół przepadło bez wieści. Strażnicy świątynni nie chcą nam udzielić żadnych informacji.

Jakub potrząsnął głową, ale nie chciał słuchać więcej złych nowin. Nie dziś.

– Czy moja mała siostrzenica jest nadal tak urocza jak ją zapamiętałem?

– Dorcas jest tak samo piękna jak jej mama. Jej uśmiech zdobył serca nas wszystkich – odezwała się stojąca obok Abigail kobieta. Jakubowi zajęło chwilę, żeby się zorientować, kto do niego mówi.

– Marto! Wybacz, nie poznałem cię – Jakub nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kobieta bardzo się zestarzała. Ale przynajmniej jej głos się nie zmienił, no i charakter – jak zawsze była bezpośrednia i szczerą.

– Twoja siostra jest piękną kobietą, ale widzę, że i ty wyrosłeś na urodziwego mężczyznę. Nie zdziwiłabym się, gdyby...

– Marto – szepnęła Abigail. – Za chwilę się modlimy.

Marta podniosła ręce do modlitwy.

– Dobrze cię widzieć, Jakubie. Potrzebujemy teraz dzielnych mężczyzn – dodała. – Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Skinęła głową, na co Jakub odpowiedział tym samym. Przyszła mu znów na myśl torba ukryta w namiocie pod dywanami. Wziął głęboki oddech i odwrócił się z powrotem w stronę Jozjasza, który stał przy stoliku nakrytym ręcznie tkanym obrusem.

Wieczorna modlitwa rozpoczęła się od wspólnego spożycia chleba i wina. Dla większości obecnych była to codzienność, lecz dla Jakuba owa pamiątka ostatniej wieczerzy Pana z Jego

uczniami miała wyjątkowy wydźwięk. Dawno już nie miał takiej sposobności. Patrzył, jak starsi zgromadzenia stoją przed stołem, a Jozjasz znów zaczyna się modlić. Podniósł chleb, a potem kielich, błogosławiąc jedno i drugie, po czym połamał chleb na małe kawałeczki, by można go było rozdać.

Jakub myślał o tym, jakie to osobliwe, że najzacniejsi i najbardziej poważani, którym normalnie powinno się usługiwać i okazywać cześć, sami roznoszą tace z chlebem i kielich z winem, by podać je innym. Przypomniała mu się zasłyszana niegdyś historia, jak to Jezus klękał przed swymi uczniami, aby umyć ich brudne stopy. Sługa...wybrzmiewało szeptem w jego umyśle, podczas gdy recytowane były słowa modlitwy.

– Tej nocy, kiedy Go wydano, Jezus wziął kielich...

Za zamkniętymi okiennicami wiatr wył i hulał po ciemnym podwórzu. Na wszystkich twarzach malował się nieziemski pokój. Większość w ogóle nie zwracała uwagi na hałas. Modlono się też za tych, którzy mieli jakieś konkretne potrzeby. Pierwsza z takich modlitw brzmiała: „Za naszego drogiego przyjaciela i brata w wierze, Albana, którego ciało potrzebuje uzdrowienia”. Potem modlono się za przyjaciół, którzy pięć miesięcy wcześniej wyjechali do Samarii i do tej pory nie było od nich żadnych wiadomości. Następnie wszyscy przyłączyli się do gorących błagań za rodzinę, która tego dnia po południu została zabrana siłą przez zauszników Świątyni pod wodzą Szawła z Tarsu. Samo jego imię, wypowiedziane przez Jozjasza smutnym, grobowym tonem, zdawało się wprawiać w drżenie płomień świec.

Z miejsca, gdzie siedział, Jakub widział drzwi wejściowe do warsztatu, za którymi znajdowała się główna brama. Za tymi zamkniętymi, zaryglowanymi drzwiami czaiła się ta pełna niebezpieczeństw noc. Lecz tu panował pokój. Tej nocy Jakub poczuł, że

Bóg jest bardzo blisko, niosąc mu tak wielkie pocieszenie, że niemal słyszał głos przemawiający do głębokiej ciszy w jego sercu.

Spojrzał znów na Albana siedzącego przy ścianie pieca. Ciepło sprawiło, że rysy jego opiekuna zdawały się jaśnieć, a może czynił to ten sam Duch, którego płomień Jakub czuł we własnym sercu. Wiedział, że Alban szczerze martwi się o jego bezpieczeństwo. Lecz był również pewien, że nie jest to życie dla niego. Zwrócił oczy z powrotem ku cieśli, który śpiewał głębokim głosem:

– *Pan czuwa nad wszystkimi, którzy Go kochają...*

Nagle Jakub zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy jest w stanie patrzeć na swego byłego pracodawcę bez cienia urazy. Wcześniej miał żal o to, że został zmuszony do pracy, której nie cierpiał, i dla człowieka, którego trudno było zadowolić. Jakub nigdy nie czuł, że powinien zostać cieślą. Nie było jego przeznaczeniem również sprzedawanie na straganie. Bóg nie powiedział mu tego w konkretnych słowach, lecz on i tak wiedział, że to nie jest droga dla niego.

Jakub zsunął się z ławki i klęknął na podłodze pomiędzy stolami, czując pod kolanami chłód kamieni. Pochylił głowę i modlił się z żarliwością równie wielką jak spokój w jego sercu. *O Panie, daj mi mądrość. Kiedyś prosił o to Salomon. Ja nie jestem tak mądry jak on. Prosiłem Cię już o wszystko inne, o wolność, siłę, bogactwo. Lecz dziś unizmam się i wyznaję, że bez Ciebie, bez Twojego prowadzenia, wszystkie te rzeczy są niczym. Ja jestem niczym. Pokaż mi wyraźnie, co chcesz, abym uczynił. Daj mi siłę, bym przyjął Twoją wolę. I dojdź z tym do granic moich możliwości.*

Walenie w bramę na podwórzu ucięło pieśń jakby nożem. Jakub usiadł z powrotem w ławce, podczas gdy Jozjasz wyszedł z pokoju na dwór.

– Któż to zakłóca nam nocny spokój o tak późnej godzinie? – zawołał.

– Przyjaciel!

Choć Jakub nie rozpoznał głosu, coś kazało mu odwrócić głowę w tamtym kierunku.

Jozjasz chwycił kij oparty o bramę i trzymał go przy piersi.

– Już późno. Przyjdź jutro...

– Nie mogę! Musiałem przyjść pod osłoną nocy, żeby...

– Ja znam ten głos! – Alban podniósł się chwiejnie na nogi.

Najgłośniej jak tylko zdołał zawołał:

– Linuks?

– Tak, to ja. – Chwila ciszy. – Czy to ty, Albanie?

– Nie inaczej.

Alban pomachał do cieśli, którego dłoń spoczywała na ryglu od bramy.

– To przyjaciel i brat w wierze. Możesz śmiało otworzyć.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Tyberiada

Julia niespokojnie rozkopała przykrycie, które zdawało się przykuwać ją do łóżka. Wstała i w ciemności podeszła do okna. Wiedziała, że tej nocy już nie zaśnie.

Odsunęła zamknięcie okiennicy. Powitał ją chłodny nocny wiatr. Nabrała w płuca powietrza, wdychając jego aromat. Po niebie mknęło kilka chmur skrywających kwartę księżyca. Na jednym z odległych wzgórz paliło się ognisko. Któż to mógł być? Poganiacze wielbłądów? Pasterze? Żołnierze rzymscy? A może grupka zelotów? Nie, raczej nie. Ci byli zbyt ostrożni i lepiej się ukrywali.

Jej myśli przebiegły szybko przez ostatnie sześć miesięcy. Gdy po raz pierwszy towarzyszyła Zoe na spotkaniu grupy znanej jako Droga, poszła tam z cichą nadzieją, że może oni byliby odpowiedzią na dylematy jej matki. W końcu nawet ich nazwa zawierała w sobie pewną obietnicę rozwiązania problemów, nie-

prawdaż? Zoe wydawała się taka pewna, że owi ludzie będą dla niej źródłem mądrości i pocieszenia... Lecz pierwsze rozmowy z nimi w ogóle nie dotyczyły jej matki. Wszystko kręciło się wokół pewnego judejskiego Rabbiego, który żył, umarł... a potem znów ożył. Z początku Julia chciała to odrzucić jako czyste bajdurzenie i głupotę, tak jak wtedy, gdy usłyszała tę historię od Zoe. Rozsądek mówił, że to po prostu niemożliwe.

Mimo to zauważyła, że nie może się doczekać kolejnego spotkania. Było oczywiste, iż ta mała grupka rzeczywiście wierzy w te wszystkie rzeczy, które opowiadają na swoich spotkaniach. To było dla Julii niepojęte. Wyglądali na ludzi szczerych i takich, na których można polegać. Niektórzy nie mieli żadnego wykształcenia, lecz byli wśród nich również uczeni, a nawet jeden faryzeusz. I oni również przyjmowali tę historię jako fakt. Z każdego spotkania Julia wychodziła pełna pytań i wątpliwości.

Stopniowo zaczęła zauważać, że całym sercem chciałaby, aby ta historia okazała się prawdą. Czuła, jak przemawiają do niej słowa Rabbiego powtarzane przez Jego wyznawców z taką starannością i przekonaniem. Gdybyż tylko mogła odrzucić na bok ostrożność i przyjąć ich słowa, myślała z żalem. Czy to zmieniłoby jej życie i serce? Wiele dni nieustannie myślała tylko o tym, co tam usłyszała i czego była świadkiem. Wielokrotnie czuła, jak wzbierają w niej pełne nadziei modlitwy. *O Boże, czy Ty naprawdę istniejesz? Czy posłałeś tu na ziemię swojego Syna? Czy On jest naszym Mesjaszem? Czy poprzez Jego śmierć naprawdę możesz mnie obmyć z grzechu, z szukania swego? Zamienić mój smutek w radość? Moją samotność w poczucie przynależności... gdzieś? Do kogoś?*

Zeszłego wieczoru, gdy już nie dawała sobie rady z wirującymi w głowie myślami, poszła poszukać Zoe.

– Czy to jest prawda? – spytała służąca, która stała się dla niej bliższa niż członek rodziny. – Czy to prawda, że On był – że jest – Mesjaszem, który był nam obiecany?

– Tak – ton głosu Zoe brzmiał niemal jak pieśń chwały, a nie jak zwykła odpowiedź. – O, tak – powtórzyła z ręką na piersi. – On jest Mesjaszem.

Tym razem Julia się nie zawahała.

– To ja też chcę uwierzyć. Potrzebuję Go. Przyjmuję prawdę. Nie mogę już dłużej szukać sensu życia poza Nim, bez Niego.

Uklęły razem i Zoe pomogła dziewczynie dobrać odpowiednie słowa modlitwy. Głos Julii drżał z emocji. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, do jej umysłu i duszy wlał się cichy pokój. Co do tego nie miała wątpliwości. Poczowała, że wszystkie dręczące ją myśli odeszły, a pozostało jedynie głębokie poczucie spokoju. Nie czuła się tak od czasu, gdy jako bez troskie dziecko wdrapywała się na kolana mamy.

Mimo fali nagłych wrażeń i emocji Julia wiedziała, że to właśnie jest odpowiedź. Nie tylko dla niej, lecz także dla jej matki, tej kochanej kobiety, która niosła na swych barkach tak bolesne ciężary.

Teraz Julia obudziła się w nowym dniu, nadal rozmyślając nad cudownością swojej nowo odkrytej wiary. Jej serce wypełniało pragnienie, aby matka również doświadczyła tego głębokiego poczucia spokoju.

Ale jak ma przekonać matkę, by zobaczyła i przyjęła ten cudowny dar? Czy zgodzi się spotkać z grupą wierzących? Julia wiedziała, że mama będzie się martwić, czy zaakceptują Samarytanę, która jest niczym więcej jak tylko niewolnicą, ruchomym dobytkiem bezbożnego poganina. Dla judejskich przywódców był to wystarczający powód, aby taką kobietę wykluczyć z peł-

nienia jakichkolwiek funkcji religijnych. Czy wyznawcy Chrystusa również uznają ją za nieczystą i niegodną?

Nagle Julia przypomniała sobie, jak Zoe opowiadała jej historię o *innej* Samarytance, tej, z którą Jezus rozmawiał kilka lat temu przy studni w miasteczku Sychar. Zaakceptował ją, zmienił jej życie i dał żywą wodę. *Tego właśnie mamie potrzeba: żywej wody, która zmyłaby z jej duszy całą ciemność...*

Jutro wieczorem będzie kolejne spotkanie wyznawców Drogi. Największym pragnieniem Julii było, aby jej matka poznała mężczyznę, który posiadał tę wodę. Lecz jak ją przekonać, aby poszła na spotkanie i posłuchała?

Za drzwiami dało się słyszeć szuranie nogami. Julia wiedziała, że to Zoe przynosi jej śniadanie. Uśmiechy wymienione przez obie kobiety mówiły znacznie więcej niż mogłyby wyrazić jakiegokolwiek słowa. *Teraz naprawdę jesteśmy jak rodzina* – pomyślała Julia, gdy Zoe podchodziła z tacą do stolika w jej pokoju.

Obie zaczęły stawiać na nim talerzyki z owocami i chlebem.

– Nastął nowy dzień – powiedziała cicho Julia. – Dzień pełen nadziei.

Zoe skinęła głową i podała Julii kubek z herbatą.

– Też to czujesz.

– O, tak. Czy widziałaś już mamę?

– Słyszałam, że już nie śpi, ale jeszcze się nie ubrała ani nie jadła śniadania.

– Nie mogę się doczekać, żeby jej powiedzieć. Ale... Myślisz, że ona zrozumie?

Zoe uśmiechnęła się, lecz potrząsnęła przecząco głową.

– Nie sędzę. Jest to bardzo trudne do zrozumienia i do zaakceptowania – gdy te prawdy są takie nowe. Potrzeba światła Ducha Świętego, które człowieka oświeci.

– Czyli muszę poczekać? – Julią wstrząsała niepokój. – Ale ja na pewno nie wytrzymam, muszę się tym z nią podzielić.

Po raz pierwszy od wielu lat Julia usłyszała chichot Zoe. Śmiech starej służącej był dziwnie skrzypiący, jak gdyby zapomniała już, jak się wyraża rozbawienie.

– Możemy się teraz pomodlić. Gdy tylko zjesz i będziesz czuła, że to odpowiedni czas, możesz iść do matki.

Skłoniły głowy w żarliwej modlitwie, co niewątpliwie stanowiło dla Julii nowe doświadczenie. Modlenie się ze służącą, nawet jeśli znała ją całe swoje życie, było czymś niespotykanym. Jednak nie czuła się z tym dziwnie czy niezręcznie. Teraz łączyła je jeszcze silniejsza więź.

Julia spojrzała na jedzenie, które miała przed sobą.

– Będziesz się ze mną modlić codziennie? – zapytała jedząc chleb z serem.

– Oczywiście. I nadal będę się modlić za twoją mamę, tak jak to robię cały czas odkąd uwierzyłam w Jezusa.

Julia obserwowała Zoe znad swojego kubka.

– A za mnie też się modliłaś?

Zoe skinęła głową.

– Wiele razy dziennie.

– I Bóg odpowiedział na twoją modlitwę.

– Tak.

– Myślisz, że wysłucha nas również w sprawie mojej mamy?

– Nie będzie to arogancją z mojej strony jeśli powiem, że z pewnością chce to uczynić.

Julia odsunęła od siebie jedzenie i wstała. Musiała się jeszcze ubrać, a czas leciał.

– Musimy często się modlić, Zoe, żeby mama usłuchała i zro-

zumiała. Żeby Duch ją oświecił, żeby zechciała pójść z nami jutro na spotkanie.

Nagle Julia przypomniała sobie, jakie walki sama toczyła. Wielokrotnie opowiedziano jej Dobrą Nowinę, mimo to przyjęcie tej prawdy zajęło jej wiele miesięcy. A teraz, gdy już uwierzyła, zastanawiała się, czemu zrozumienie tego trwało u niej tak długo. Wszystko było dla niej takie nowe. Miała mnóstwo pytań, na które jeszcze nie знаła odpowiedzi. Choć przenikał ją wewnętrzny spokój, nękała ją świadomość, że mama nie zaznała jeszcze tego uczucia. No i jej ojciec... Jak im to wszystko wytłumaczyć, żeby zrozumieli? To wytrącało ją z równowagi, budziło niepewność.

– A co jeśli mama nie... Jak ją przekonać?

– Dziecko kochane – odpowiedziała Zoe kojącym tonem i wyciągnęła rękę, by pogłodzić nierozczesane włosy dziewczyny. Zoe dotykała ją i zwracała się do niej w ten sposób po raz ostatni, gdy Julia była malutka, lecz teraz ten dotyk i słowa niosły jej pocieszenie i dodawały otuchy. – Dziecko kochane – powtórzyła Zoe. – Pomodliłyśmy się, a Pan Bóg usłyszał. Musimy Mu zaufać, że sam będzie działał.

Poklepała Julię po ramieniu i odwróciła się, by zabrać tacę z jedzeniem, po czym posłała dziewczynie jeszcze jeden uśmiech.

– Ubierz się, dziecko. Ubierz się, a potem idź do matki. A ja przez ten czas będę się modlić.



Wkrótce Julia zastukała w drzwi, ale nie usłyszała odpowiedzi. Najciszej jak umiała uchyliła je odrobinę. Zaglądając przez szparę zobaczyła łóżko swojej matki w totalnym nieładzie, jak gdyby Helena przez całą bezsenłą noc walczyła z prześcieradłami. Lecz jej głowa nie spoczywała już na skotłowanej poduszce.

Julia znalazła matkę siedzącą w altanie na dworze, przed jej sypialnią. Miejsce to było chronione od wiatru przez wysokie kamienne mury, a podłoga wyłożona kolorowymi, wzorzystymi kafelkami. Dawało poczucie odosobnienia i odrobinę ciepła nawet w tak chłodny poranek. Na ławce opierającej się o południową ścianę leżały miękkie poduszki, rozkładane tam przez służbę wczesnym rankiem i zabierane do domu wieczorem. Pośrodku małego pomieszczenia stała bogato zdobiona marmurowa grecka fontanna, którą z jednej ze swych licznych podróży przywiózł niegdyś Jamal. Kolorowe blaski tańczyły na ścianach, tworząc małe tęcze, mieniające się w tym kamiennym świetle. Helena kochała to miejsce.

Teraz bezwiednie bawiła się żdźbłami trawy, pozostawionymi na ławce przez wijące gniazdo ptaki. Jej rozpuszczone włosy okalały bladą, pozbawioną wyrazu twarz. Siedziała z jedną stopą podłożoną pod pośladki, przypominając bardziej dziecko niż dorosłą kobietę. Druga noga, obuta w sandał, huśtała się w przód i w tył w rytm jakiejś wewnętrznej piosenki.

– Mamo? – powiedziała z wahaniem Julia podchodząc bliżej.

Głowa Heleny podniosła się, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. Poruszyła się lekko i dała Julii znak, żeby podeszła.

– Zoe mówi, że znów źle się czujesz.

Helena podniosła dłoń falistym ruchem, na znak, że czasem jest lepiej, czasem gorzej.

– Mamo, bardzo się o ciebie martwię. Ostatnio nie wyglądasz na zdrową. Może potrzebny ci lekarz? Na pewno...

– Ależ nie – powiedziała stanowczo Helena, prostując plecy i potrząsając głową. Jej wzrok utkwiał znów w żdźbłach trawy, które miała w dłoni.

– Gdy jestem tutaj, wszystko wydaje się w porządku – powiedziała miękko, jak gdyby do siebie. Podniosła oczy i spojrzała na Julię. – Tak jak jakiś bóg zamierzył, aby było. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

Julia skinęła głową.

– Jest tu takie poczucie spokoju.

Helena uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Właśnie to chciałam wyrazić.

Julia poczuła, że teraz uwaga jej mamy jest skupiona i trzeba wykorzystać tę chwilę.

– Mamo, rozmawiałam z Zoe. Jakiś czas temu, gdy była w Sychar, spotkała starą znajomą sprzed lat. Ta znajoma opowiedziała jej niezwykłą historię, bardzo dobrą nowinę.

– Nowinę? Jakaż to dobra nowina może pochodzić z Sychar?

– Nie ma *jakiegoś tam* boga, tylko jest jeden, *prawdziwy*. Ta kobieta poznała Go osobiście. Przyszedł tam do studni i...

– Do studni w Sychar? – matka zmarszczyła brwi. – Co to za Bóg, który przychodzi do tej *mieściny*, i to w dodatku do studni? Potrzebuje pić, tak jak ludzie?

– On... nie poszedł tam zaspokoić własnej potrzeby, lecz potrzebę tej kobiety.

To stwierdzenie wprawiło Helenę w jeszcze większe zdumienie.

– Bóg, który interesuje się człowiekiem? I to w dodatku *kobietą*?

– Ma na imię Jezus. Został przysłany przez Boga, który jest w niebie, Stwórcę wszystkiego. To jedyny prawdziwy Bóg, który szepcze do ciebie słowa pokoju.

Jej matka potrząsała głową.

– Wierzysz w to? Że my... że ja zostałam stworzona? Zrobiona przez kogoś? A nie tak po prostu *istnieję*? – zamachała ręką w powietrzu, jakby chciała odrzucić tak niedorzeczną myśl.

– Wierzę.

– Gdyby tak było, to czy nie powinien istnieć jakiś powód... dla którego tu jestem?

– Tak, mam. Jest taki powód.

– Ale... Nic w moim życiu nie wskazuje na to, że cokolwiek ma jakiś powód lub cel. Że mamy jakiegokolwiek inne przeznaczenie niż istnieć, a potem umrzeć – oczy Heleny lśniły od łez. Wyciągnęła drżącą dłoń i pogładziła Julię po policzku. – Nie ma nic; nic, co dałoby mi jakikolwiek cel, jakiegokolwiek poczucie wartości – poza tobą.

Julia również powstrzymywała łzy.

– Mam, dziękuję ci, że dałaś mi życie. Ale istnieje coś więcej. Naprawdę. I tak bardzo bym chciała, żebyś ty również tego doświadczyła. Pójdiesz ze mną i z Zoe? Grupa wyznawców Jezusa spotyka się w pobliżu Tyberiady. Niektórzy znali Go osobiście, gdy tu był. Oni...

– On tu był? W Tyberiadzie? To czemu nikt o tym nie mówi? – Helena otarła łzy. Jej duże, wyraziste oczy wpatrywały się w Julię.

– Może nie dokładnie tu w Tyberiadzie, ale... ale oni ci wszystko o Nim opowiedzą – Julia w jednym momencie zdecydowała, że nie będzie w tej chwili nic więcej wyjaśniać. – Na tym spotkaniu, o którym wspomniałam. Pójdiesz z nami, mam? Proszę...

Helena podniosła się z ławki i podeszła do szumiącej fontanny. Stała plecami do Julii, lecz jej postawa wskazywała na walkę, jaka się w niej toczy. Julia widziała, jak matka wyciąga dłoń, a przez jej palce przelatuje woda. W końcu odwróciła się, znów zmarszczywszy brwi.

– Nie mogę nic uczynić bez pozwolenia twojego ojca. A on nie przepada za religiami. Wątpię, żeby...

Julia poczuła, że ma chęć pozwolić, aby kipiące w niej emocje, wątpliwości i to wszystko, co tkwiło w jej umyśle przez ostatnie tygodnie, wreszcie wybuchło. Czemu kazano jej żyć z tym całym fałszywym osądem sytuacji? Czemu nie знаła prawdziwego powodu, dla którego ojciec tak rzadko bywał w domu? Czemu nie wiedziała o jego drugim domu – tym prawowitym? Czy ona i Helena w ogóle się dla Jamala liczyły? Choć już o tym rozmawiały i Helena zapewniała ją, że tak, dręczące myśli wciąż powracały do Julii.

Przypomniała sobie rozmowy wierzących na temat nauki Mesjasza o przebaczeniu. O tym, że trzeba kochać swoich wrogów. Oczywiście, jej ojciec nie był wrogiem, lecz jego czyny, jego kłamstwa, wykluczyły go również z kręgu jej przyjaciół...

Helena najwidoczniej wyczuła, co się dzieje w sercu jej córki, bo wróciła na ławkę i objęła córkę.

– Jamal naprawdę nas kocha. A to jest więcej niż ma wiele osób. To dobry człowiek. Zapewnia nam utrzymanie, przyjeżdża kiedy tylko może. Tak, owszem, musimy się nim dzielić. Ale czy nie rozumiesz? To lepsze, niż gdybyśmy nie miały go wcale.

– Nie jesteś na niego zła? Nie jesteś zgorzkniała? – wypowiadając te słowa Julia poczuła, że gdzieś w głębi jej świadomości coś zaczyna się dziać. Że budzi się tam delikatne pragnienie, by mu wybaczyć i poczuć się znów jak jego kochana córeczka.

– Nie mam powodu, by być zgorzkniałą. Gdyby nie twój ojciec, mogłabym równie dobrze być niewolnicą pracującą na polu i zbierać kłosa za żeńcami, ugniatać winogrona w winnicy, paść kozy na wzgórzach, czy wręcz żebrać. Albo coś jeszcze gorszego – potrząsnęła głową. – Twój ojciec troszczy się o mnie i o cie-

bie. Czy mogę narzekać na swój los, jeśli jedyne, co muszę robić, to być dla niego miła, kiedy przyjeżdża? To żaden ciężar. On jest dla mnie dobry, Julio. Jest delikatny, pragnie mojego szczęścia. To znacznie więcej niż ma niejedna kobieta. I dzięki niemu mam ciebie.

Julia objęła matkę obiema rękami i wtuliła twarz w jej ramię.

– Sądysz, że martwię się swoim losem? Tym, że spędzam z nim tak mało czasu? – spytała cicho Helena.

– A nie jest tak?

– Nie, kochanie. Niewiele o tym myślę. Gdy Jamal tu jest, życie wcale nie jest trudne. Kiedy jest z nami, w naszym domu, mam jakiś cel. Moje życie ma sens. Ale kiedy wyjeżdża... – ucichła na chwilę, zanim zaczęła mówić dalej, tuż przy uchu Julii. – Kiedy byłam dziewczynką, dorastałam w wiosce, a moja rodzina pracowała na rynku. Zawsze było mnóstwo roboty i zbyt mało rąk do pracy, dlatego pracowaliśmy ciężko. Bardzo ciężko. Ale znałam swoją rolę. Rozumiałam oczekiwania mojej rodziny. Miałam tam swoje miejsce. Potrafiłam poruszać się między straganami, umiałam gotować, sprzątać. Myślę, że byłaby ze mnie świetna służąca.

Na te słowa Julia uśmiechnęła się i podniosła głowę. Jej mama służąca? Helena odwzajemniła uśmiech, lecz potrząsnęła głową.

– A potem znalazłam się tutaj – mówiła dalej. – Tu nie mogę być służącą. Mam dom pełen służących. Moim zadaniem jest siedzieć i pozwolić, aby się o mnie troszczyli. Tęsknię za pracą przy piecu, za wsuwaniem do niego chleba, który sama zagniotłam i uformowałam, za patrzeniem, jak zaczyna się rumienić. Mój własnoręcznie zrobiony chleb... Tęsknię, by poczuć jego zapach. Mieć satysfakcję, że coś zrobiłam własnoręcznie. Ale nie, ode mnie oczekuje się, że będę tylko odpoczywać. Z drugiej

strony, poza murami tego domu nie jestem akceptowana jako pani. Wszyscy wiedzą, że nie pochodzę z wyższych klas. I wychodzi na to, że nie mam żadnego celu. Wyleguję się i czuję się bezużyteczna, znudzona. Dni ciągną się w nieskończoność, a żaden nie ma sensu – zawahała się, a uścisk jej ramion wokół Julii jeszcze się zacieśnił. – Tylko ty się dla mnie liczysz. A teraz...

– Teraz?

W oczach matki ujrzała czysty smutek.

– Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. To było oczywiste, ale ja... powtarzałam sobie, że jeszcze nie, dopiero za jakiś czas...

– Ale o co chodzi? – spytała Julia szeptem.

Helena odchyliła głowę, by spojrzeć córce w oczy, po czym pogłaskała ją po policzku.

– Twój ojciec... Planuje małżeństwo.

– Ale to chyba dobrze, czyż nie? No bo chyba chcesz wyjść za niego...

– Nie chodzi o mnie, kochanie. Chodzi o ciebie. Ma nadzieję na korzystny kontrakt z jakimś mężczyzną zamieszkałym w miejscu, o którym nawet nigdy wcześniej nie słyszałam.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Jerozolima

Nim wszyscy poszli spać, żona i starsza córka Jozjasza przygotowały trzy posłania wokół pieca w pracowni. W miejscu, gdzie obrabiano drewno przed suszeniem, teraz stała taca z chlebem, miska daktyli i herbata. Abigail na chwilę zniosła na dół swoją śpiącą córeczkę. Jakub dotknął policzka małej.

– Nigdy w życiu nie widziałem ładniejszego dziecka – szepnął.

Alban przyglądał im się i zauważył, jak bardzo Dorcas jest podobna do ojca. Jakub obawiał się, że takie słowa mogą przysporzyć Abigail bólu, ale ona tylko pogłaskała swoje dziecko po buzi i przytaknęła.

– Szczepan jest w niej. W każdym jej kroku, spojrzeniu, uśmiechu.

Linuks stał w cieniu, obserwując tę rodzinną scenę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Jakub nie był pewien, co myśleć

o tym człowieku, który w potrzebie okazał się dla niego dobry, lecz z drugiej strony odmówił mu pomocy w zaciągnięciu się do rzymskich legionów. Chociaż... Chyba powinien mu za to kiedyś podziękować.

Abigail wymogła na nich wszystkich, by nie rozmawiali o niespodziewanym przybyciu Linuksa zanim nie wróci, po czym poszła położyć córeczkę z powrotem do łóżeczka. Chwilę później wróciła z Martą. Starsza kobieta powiedziała w charakterystyczny dla siebie, bezpośredni sposób:

– Mam nadzieję, że pozwolicie mi do was dołączyć?

Wszyscy trzej mężczyźni od razu skinęli głowami.

– Ale może powinniśmy pozwolić Albanowi odpocząć? – spytała Abigail.

– Już i tak wystarczająco się dziś wyspałem – wyrzeźił Alban.

– Moje serce rośnie, dusza się raduje, bo jestem wśród przyjaciół – podnosząc z wysiłkiem rękę wskazał słabym ruchem na nich wszystkich.

– Ale jak będziesz dalej mówił, nie wpłynie to dobrze na twoje zdrowie – zaprotestował Jakub.

– Położę się tu i będę tylko słuchał – Alban ułożył się wygodniej na pościeli i przyglądał się po kolei twarzom przyjaciół. Jakub pomyślał, że odkąd wyruszyli z Tyberiady Alban po raz pierwszy wygląda, jakby odzyskał spokój ducha.

Linuks wyglądał na silniejszego niż kiedykolwiek przedtem. Co więcej, wydawał się zupełnie spokojny pomimo tego, co im już zdążył powiedzieć o wydarzeniach związanych z jego powrotem do Jerozolimy. Przyciągnął ławkę bliżej Albana i usiadł, oplatając palcami kubek herbaty, która na pewno już dawno wystygła. Mierzył Jakuba badawczym wzrokiem oficera, dostrzegającego ewidentne atuty i szukającego słabości. Jakub dobrze znał ten

sposób patrzenia. Alban robił to samo, gdy oceniał każdego człowieka, który chciał wstąpić w szeregi strażników karawany.

– Jesteś już mężczyzną, Jakubie – powiedział Linuks.

– Tak – potwierdził Alban, a chrypiący głos i tak nie zamaskował oczywistej dumy. – To moja silna prawa ręka.

Jakub już chciał wypomnieć Albanowi, że przecież chce go umieścić na straganie kupieckim w Samarii, ale się powstrzymał.

Linuks zwrócił się do swego starego przyjaciela i rzekł:

– Jeśli dalej będziesz mówił zamiast odpoczywać, to ja już się dziś nie odzywam.

Alban uśmiechnął się i machnął ręką pokazując, że go usłucha.

Linuks odwrócił się do Abigail, która siedziała przy piecu, obok swojego brata i Marty.

– Twoja córeczka dobrze sypia?

Usta Abigail rozciągnęły się w uśmiechu.

– Potrafi przespać burzę, pioruny, krzyki oraz śpiew.

– Rzadko kiedy płakała, nawet jako niemowlę – dodała Marta. – Chyba że miała dobry powód. Na przykład kiedy jej mama za późno przychodziła ją nakarmić. A zdarzało się to nieraz, bo Abigail miała dużo innych obowiązków na głowie.

– Czyli wciąż nie próżnujesz.

– Szczepan rozpoczął służbę dla Pana, która teraz jest jeszcze bardziej potrzebna niż wtedy – odpowiedziała Abigail, spuszczając wzrok pod intensywnym spojrzeniem Linuksa. – Wielu z tych, którzy pozostali w Jerozolimie, bardzo potrzebuje pomocy.

Marta wstała i poszła do kuchni. Jakub zauważył, że jej ruchy stały się bardziej sztywne, a na twarzy przybyło zmarszczek. Lecz uśmiech pojawiał się na niej z taką samą łatwością jak nie-

gdyś, zaś jej oczy wciąż błyszczały z autentyczną sympatią. Wróciła i naląła Albanowi świeżej herbaty.

– Ktoś jeszcze chce? – spytała.

Linuks wyciągnął kubek przed siebie. Gdy Marta usadowiła się z powrotem na ławce, żołnierz zwrócił się do Abigail:

– Jako przyjaciel pozwolę sobie na uwagę, że widać w tobie Boży pokój pomimo ciężaru tak wielkiej straty.

– Brak Szczepana codziennie odczuwam w moim sercu jak ranę – odpowiedziała Abigail. – Jednak z czasem coraz mniej boli. Nawet w obliczu straty odczuwam Bożą obecność.

– To widać – odparł Linuks i kiwnął głową.

Jakub przyglądał się twarzom siedzących wokół niego ludzi. Wszyscy wiedzieli, że Linuks starał się kiedyś o rękę Abigail i robił to z gorliwością rzymskiego wojownika. Posunął się nawet do przekupienia Jakuba, oferując młodemu poszukiwaczowi przegód spełnienie marzenia o zostaniu legionistą, jeśli tylko Jakub się za nim wstawi. Gdy Abigail została przyrzeczona Szczepanowi, Linuks zagroził, że będzie to koniec ich przyjaźni. Jednak Bóg przeprowadził swoją wolę nawet w tak strasznej chwili, przyciągając Linuksa, Rzymianina, do kręgu wierzących.

Jakub zauważył, że inni przyglądają się żołnierzowi.

– Nasz przyjacielu, Rzymianinie, ależ ty się zmieniłeś – powiedziała wreszcie Marta.

– Nasz Pan to sprawił – odparł Linuks.

– Bóg może pracować tylko w chętnym sercu – zapewniła go Marta.

Jakub zauważył, że Alban zmienia pozycję na posłaniu, żeby móc na niego spojrzeć, ale ten odwrócił twarz.

Wzrok Linuksa pozostał utkwiony w kubku, który trzymał w dłoniach.

– Dwadzieścia dziewięć miesięcy temu otrzymałem rozkaz powrotu do domu.

– Tak, dostaliśmy list od ciebie – powiedziała Abigail.

– I od tamtego czasu nie przestawaliśmy się za ciebie modlić – dodała Marta.

– Nie mam wątpliwości, że to dzięki waszym modlitwom zdołałem wytrwać przy Bogu – odparł Linuks. – Udałem się do Italii, bo szwagierka napisała, że mój brat jest bardzo chory, być może umierający. Nie będę kłamał. Pojechałem do domu myśląc, że to może być dla mnie szansa. Że wreszcie uzyskam to, czego mi przez całe życie odmawiano. Tytuły, bogactwo, władza – wszystko będzie moje. Było to wielkie marzenie, które niosło mnie przez morze. Z każdym dniem spędzonym na statku moje pragnienia przybierały na sile.

Jakub rozglądał się powoli, najpierw zatrzymując wzrok na twarzach czworga ludzi, rozświetlonych blaskiem dochodzącym z otwartego pieca. Jego wzrok powędrował dalej, ku płonącej pochodni, przytwierdzonej do przeciwległej ściany, którą zdobiło mnóstwo wiszących na niej narzędzi i urządzeń do pomiarów. Warsztat był naprawdę duży. Był w stanie pomieścić tuzin szkolących się chłopaków i handlarzy, a sufit sięgał wysokości kilku pięter. Z belki pośrodku sufitu, wyciosanej z pnia masywnego cyprysu libańskiego, zwisały trzy wyciągi krążkowe. Jozjasz, prawdziwy mistrz stolarski, potrafił w tym pomieszczeniu skonstruować ściany nowego domu, a potem je rozmontować i stopniowo przewieźć wózkami we wskazane miejsce. Jednak dla Jakuba pracownia stanowiła więzienie. Niegdyś bał się, że nigdy nie zdoła stąd uciec. Ale miał pewność, że stragan w Samarii będzie dla niego dokładnie tym samym, tyle że pod inną nazwą.

Tymczasem Linuks kontynuował:

– Gdy przybyłem do Italii, doświadczyłem tylko nieszczęścia, które zawsze tam było, lecz ja do tej pory pozostawałem ślepy na ten fakt. Miałem jakby zasłonę na oczach, uszytą z pożądania bogactwa, statusu i władzy. Tym razem, gdy przechadzałem się po korytarzach pałacu mego brata, z dekoracyjnymi tkaninami na ścianach, ze złotymi tacami zdobionymi stoły, wyglądałem przez wysokie, wykończone łukami okna i patrzyłem na chłopów, na ziemię...

Nikt się nie odzywał. Jedyńm dźwiękiem rozcinającym ciszę był odgłos wiatru, który nie mógł się dostać do ich bezpiecznej kryjówki oraz trzaskający ogień. Jakub znów przyjrzał się po kolei twarzom wszystkich zebranych. Kochana Marta, wierna służebnica ich Pana, której siostra, Maria i brat Łazarz byli zajęci pomocą biednym w ich rodzinnej wsi za Górą Oliwną... Abigail, jego umiłowana siostra, ze spokojem i godnością dźwigająca ciężar wdowieństwa, które dodawały jej uroku i piękna... Alban, były setnik, który wyratował Jakuba od handlarzy niewolników, przyjął do swego domu i serca oraz dał pracę niemal idealnie spełniającą jego chłopięce marzenia... No i Linuks, rzymski oficer, tak bardzo przemieniony przez Pana...

– Mój brat sądził, że przyjechałem jedynie ze względu na jego pieniądze – mówił Rzymianin. – Atakował mnie wściekle, choć leżał na łożu śmierci. Modliłem się całą noc w tej sprawie, prosząc Boga o prowadzenie. I rano je otrzymałem. Poszedłem do brata i powiedziałem, że niczego od niego nie chcę, niczego nie przyjmę i proszę go tylko o jedno: aby wyznał Pana Jezusa jako Mesjasza.

Ktoś westchnął lekko. Może nawet był to sam Jakub. Wszystkie oczy utkwione były w mężczyznę, który opierał się na łokciach i mówił jakby do jakiegoś miejsca w oddali.

– Mój brat mnie wyszydził. Ale nic to dla mnie nie znaczyło. Nie, nie to chciałem powiedzieć. Oczywiście, miało to dla mnie wielkie znaczenie.

– To była twoja służba Panu – dokończyła za niego Marta.
– Zrobiłeś, co mogłeś. Bóg cię do tego wezwał, a ty odpowiedziałeś.

Linuks powoli pokiwał głową, a jego spojrzenie pozostawało dalekie.

– Opowiedziałem mu o tym, że uwierzyłem w Jezusa. To samo wyznałem też reszcie jego rodziny. Jego druga żona, macocha dla córek, pomodliła się ze mną, podobnie dziewczynki. Bratanice stały się dla mnie bardzo cenne, mimo że wcześniej odwiedziłem je tylko raz.

– Zasiałeś ziarno w twoim bracie – rzekła do Linuksa Marta.
– Módl się za niego i pozwól Bogu uczynić resztę.

– Ale kto się teraz zajmie jego rodziną? – czoło Linuksa zmarszczyło się w zatroskaniu. – Kto ich poprowadzi, tak jak ja byłem prowadzony przez was?

– Będę się za nich modlić, i o to, aby Pan pokazał rozwiązanie tej sytuacji – odezwała się Marta.

Jej słowa najwyraźniej przyniosły Linuksowi spokój ducha, bo oparł się wygodniej o ścianę, a jego rysy złagodniały.

– To samo poczucie, że jestem chroniony, towarzyszyło mi w podróży powrotnej. Rozmawiałem o Jezusie z ludźmi, z którymi płynąłem statkiem. Dwóch pomodliło się ze mną, a większość przynajmniej słuchała, co mam do powiedzenia.

Alban uśmiechnął się i wytarł strużkę potu z brody.

– Wczoraj, kiedy przybyłem do Jerozolimy, stawiałem się przed trybunem w twierdzy Antonia.

– U Metellusa? – szepnął Alban.

– Tak, u tego samego.

– Nie jest przyjacielem tutejszych wyznawców Jezusa.

– Ani moim. Pamiętasz, jak uznał mnie za sprzymierzeńca byłego konsula, który zastąpił Pilata? Metellus drwił, że konsul jest właśnie w drodze do domu i że jestem bezbronny. Pozbawił mnie dowództwa nad garnizonem w Kafarnaum. Prawdę mówiąc, i tak zakładałem, że wyruszając do Italii stracę tę funkcję, choć pytałem go przed wyjazdem o pozwolenie. Ale Metellus nie mógł sobie odmówić przyjemności odesłania mnie z powrotem do Cezarei. Mam się zgłosić do komendanta garnizonu i najprawdopodobniej stamtąd też zostanę odesłany – do Damaszku, Galii, a może nawet na granicę z Germanią. Metellus stwierdził, że takie wygnanie to nagroda, na którą zasłużyłem.

Te przykre konsekwencje zdawały się nie robić na Linuksie żadnego wrażenia. Mówił, jakby rozprawiał o pogodzie – tonem, w którym pobrzmiwało coś więcej niż spokój.

– Nic nie odpowiedziałem. Poczucie ochrony ze strony naszego ukochanego Pana nigdy nie było we mnie silniejsze niż w tamtej chwili. Było jeszcze silniejsze niż wtedy, gdy stałem przy łożu mojego brata. Jakby nic na tym świecie nie mogło mnie dotknąć.

Alban odkaszlnął, po czym rzekł:

– Prawdziwie jesteś jednym z nas, Linuksie.

Marta wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Rzymianina.

– Jesteś naszym bratem.

Jakub przyglądał się tym dwojgu. Judejska kobieta, służebnica zmartwychwstałego Pana i rzymski oficer, zaprzysiężony wróg jej narodu. Abigail wstała ze swojego miejsca i uklękła na kamieniach.

– Pomódlmy się za Linuksa – powiedziała.

– Za nas wszystkich – dodała Marta. – Nie, Albanie, ty leż.

Jakub przysunął się, by klęknąć obok siostry i ujął jej spracowaną dłoń. Usłyszał, jak inni zaczynają się modlić i też głośno do nich dołączył. Lecz w sercu dźwięczały mu te same słowa, którymi modlił się po cichu w czasie obiadu. Powtarzał je w kółko. *O Panie, daj mi mądrość.*



Długo przed wschodem słońca, w srebrnym świetle nienarodzonego jeszcze dnia, Jakub powrócił do miejsca postoju karawany, włączając się w przygotowania do wymarszu. Chmury rozpierchły się wraz z nocą, zabierając ze sobą wiatr, a powietrze było chłodne i suche. Zwierzęta głośno narzekały, gdyż zostały obudzone dwie godziny wcześniej, ale załadunek oraz podwójna porcja owsa w brzuchu rozgrzały je. Teraz wielbłądy tupwały szerokimi, grubymi podszwami kopyt, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie wędrówki.

Kwarta księżycy wisiała na zachodzie, blednąc wraz z pojawiającym się słońcem, którego pierwsze promienie oświetliły niebo. Najbliższe wzgórza przybrały kolor bladej czerwieni i przed oczami Jakuba rozciągał się cudowny widok. Poganiacze, wzdychając pod nosem, szykowali się do wyjazdu. Budzili się wolniej niż zwierzęta, jeszcze byli zaspani, w przeciwieństwie do Jakuba, który był niezwykle podekscytowany, czując zew przygody. Dosiadł konia Albana, szarego ogiera z grzywą białą jak morska piana, któremu wyraźnie udzielił się entuzjizm jeźdźca. Ogier parsknął niecierpliwie, dając znać, by zakończyć już wreszcie przygotowania i ruszyć w drogę.

Jakub przeprowadził szybką inspekcję karawany. Trzej słudzy mistrza karawany zwijali wielkie namioty i ładowali na wozy,

aby zawieźć je na przechowanie do Jerozolimy, do następnej wizyty Jamala.

Mistrz karawany, Syryjczyk imieniem Yussuf, zagwizdał dwukrotnie ze swego miejsca przy bramie wyjazdowej, dając w ten sposób sygnał do wymarszu. Wielbłądy rozpoznały ten dźwięk i ustawiały się jeden za drugim, zanim poganiacze zdążyli lekko uderzyć biczami w ich nogi. Mistrz karawany, chudy niczym chart wyścigowy, dziesięć lat spędził jako legionista, dopóki nie stracił w bitwie oka. Alban go znał i ufał mu. Pod nieobecność Albana Yussuf sam siebie mianował głównym strażnikiem karawany i polecił Jakubowi, by strzegł tyłu karawany. Większość strażników nie lubiła tego robić, bo oznaczało to wdychanie pyłu i piachu wzbijanego przez ludzi i zwierzęta. Na szczęście teraz, po chłodnej, deszczowej nocy ziemia była bardziej ubita, więc Jakub uznał, że tego dnia, o ile karawana nie zostanie zaatakowana, jedynym minusem w jego roli będzie samotność. Jakub oddał honory mistrzowi karawany i zawrócił konia. Trochę kurzu mu nie przeszkadzało.

Latif, widząc przejeżdżającego obok Jakuba, zawołał go. Chłopak zawrócił konia i podjechał w jego stronę.

– Nie zbliżaj się – syknął poganiacz.

Jakub zsunął się z siodła, udając, że ogląda kopyto konia.

– Co się stało?

– Spójrz na północ od bramy – padła cicha odpowiedź.

Miejsce postoju było podzielone na stanowiska niskimi kamiennymi murkami. Każde stanowisko, wyposażone w oddzielną studnię i koryto do pojenia zwierząt, było wystarczająco duże, by pomieścić jedną karawanę. Cały obóz ogrodzony był drewnianymi słupami i krzewem cierniowym, służącym jako nieprzekraczalna linia graniczna. Wzdłuż obrzeża znajdowały się zajazdy

i stragany obsługujące karawany – kowale, wyprawiacze skór, sprzedawcy paszy. Brama wjazdowa była tylko jedna.

Gdy Jakub podniósł głowę i wyrzał zza końskiego karku, Yussuf i pierwsza partia zwierząt właśnie powoli przez nią przechodzili. Karawana Jamala była duża – liczyła ponad siedemdziesiąt wielbłądów i przeszło trzydzieści osłów, a teraz zdawała się jeszcze dłuższa niż zwykle. Znacznie mniejsze stadko Latifa wciąż klęczało w swoim stanowisku, czekając na sygnał do wyruszenia.

Jakub zauważył, że Latif ma tylko sześć wielbłądów, co oznaczało, że trzy gdzieś zaginęły. A to przecież było niemożliwe. Wiadomość o zaginionym, chorym lub zranionym wielbłądzie rozprzestrzeniała się w obozie szybciej niż wiatr.

– Gdzie reszta twoich zwierząt?

– Z Yussufem. Ale to teraz nieważne – Latif wskazał podbródkiem. – Zobacz, kto stoi przy bramie.

Przy wejściu jak zwykle stał znieawidzony przez wszystkich strażnik celny i nadzorował wychodzące zwierzęta. Ochraniało go dwóch rzymskich żołnierzy, którzy opierali się na swoich włóczniach i obserwowali karawanę ze znudzonym wyrazem twarzy.

– Nie rozumiem – powiedział Jakub, nie patrząc na Latifa. – Często sprawdzają pod takim czy innym pretekstem. Jakakolwiek wymówka... Chodzi o przemyt? Ale ty chyba nie...?

– To nie jest urzędnik celny – mruknął Latif, zaciskając pas na ładunku jednego z wielbłądów. – Spójrz na faryzeuszy.

Jakub zauważył dwóch odzianych na czarno mężczyzn, stojących nieco dalej od wejścia, na wpół ukrytych za daszkiem nad straganem.

– Co to za jedni?

– Nie jestem pewien. Lecz obawiam się, że ten wyższy to Szaweł z Tarsu.

Jakub poczuł jak ścina mu się krew w żyłach.

– Myślisz, że ciebie szuka?

Latif wspiał się na siodło stojącego na czele wielbłąda, mlaśniał językiem i machnął skórzanym biczem. Wielbłąd wydał z siebie pomruk, potem beknięcie, po czym powoli stanął na nogi. Pozostałe zwierzęta poszły w jego ślady i powłócząc kończynami podążyły w stronę bramy.

– Tak jak ci mówiłem, Jamal dał mi specjalne zadanie – powiedział Latif mijając Jakuba. – Takie, o którym nie ma wiedzieć nikt inny z karawany. Jeśli mnie zabiorą, powierzam ci opiekę nad moimi wielbłądami. Teraz są z Yussufem. On o niczym nie wie i ma na tyle rozumu, żeby nie pytać – obejrzał się jeszcze i dodał: – Ale nie sądzę, że Szaweł jest tutaj z tego powodu. A torba? Jest bezpieczna?

Jakub skinął głową i wsiadł na konia, a jego nogi trzęsły się ze strachu, tak że zwierzę to wyczuło i zaczęło rzucać zadem na boki. Jakub ściągnął wodze, poklepał ogiera po szyi i wymruczał ledwie poruszając ustami:

– Skąd możesz mieć pewność, że przyszli po ciebie?

– Pewności nie mam. Ale po co w takim razie... Nieważne. Zaraz się dowiemy. Rozmawiałem z Yussufem. On wie, że masz strzec moich wielbłądów i zgłosić się do Jamala.

Jakub chciał jeszcze zaprotestować, ale Latif machnął pejcem i warknął:

– Nie mogą cię ze mną zobaczyć. Narażasz siebie i w ogóle wszystko. Módl się za mnie, jeśli mnie zabiorą. Jakubie, torba jest sprawą najwyższej wagi. Dostarcz ją zgodnie z tym, co ci poleciłem.

Jakub udawał, że sprawdza wielbłądy zamykające karawanę, a Latif pojechał dalej. Gdy chłopak uznał, że jest to już bezpieczne, obejrzał się, puszczając ostatni sznur zwierząt pomiędzy so-

bą a żołnierzami przy bramie. Dwaj faryzeusze nadal byli jak cienie – ich czarne szaty zlewały się z cieniem straganu.

W tym momencie zobaczył, jak jeden z nich robi krok do przodu. Jakub wstrzymał oddech.

Od razu rozpoznał Ezdrasza, wpływowego kupca z Jerozolimy, który kiedyś starał się o rękę Abigail. Od śmierci swojej siostry, Safiry, Ezdrasz stał się postrachem wszystkich wyznawców Drogi.

Ezdrasz odwrócił się, by powiedzieć coś do drugiego mężczyzny. Jakub go nie rozpoznał, ale nie musiał. Usłyszał już wystarczająco dużo opisów Szawła z Tarsu. Wysoki, szczupły i twardy, zarówno jeśli chodzi o sylwetkę, jak i wyraz twarzy. Spojrzenie jego ciemnych, groźnych oczu przypominało wzrok drapieżnego ptaka. Stali tak we dwóch, Ezdrasz i Szaweł, a ich spojrzenia sygnalizowały niebezpieczeństwo.

Jakub lekko zeskoczył z siodła i zdjął z szyi długą pustynną chustę. Owinął ją sobie dookoła głowy, jak to mieli w zwyczaju mężczyźni należący do plemion pustynnych, i przewiązał, by okrywała również jego twarz. Zazwyczaj poganiacze oraz strażnicy karawan robili tak, gdy paliło ich słońce lub wiatr smagał z brutalną siłą. Choć jednak ten dzień był chłodny, a bryza świeża, to jednak Jakub nie był jedynym, który założył na ramiona burnus.

Z bijącym mocno sercem zrównał krok z objuczonym ciężko wielbłądem i obserwował faryzeuszy. Mieli identyczne brody, szpiczaste niczym włócznie, z tą różnicą, że broda Ezdrasza nosiła ślady siwizny. Ich twarze były napięte z wściekłości. Jakub zobaczył, jak Ezdrasz pochyła się w kierunku młodszego faryzeusza i coś do niego szepcze. Szaweł wskazał na zbliżającego się do nich Latifa. Ezdrasz skinął głową.

Szaweł odwrócił się i przywołał kogoś stojącego za nim. Serce Jakuba zaczęło bić jeszcze szybciej, gdy zobaczył, że z niszy za straganem wyłania się pięciu strażników świątynnych.

Razem z Szawłem podeszli do Latifa. Choć słów faryzeusza nie dało się dosłyszeć z powodu ryku wielbłądów, to Jakub natychmiast wyzbył się złudzeń. Strażnicy ściągnęli Latifa z grzbietu zwierzęcia i powalili na kolana w przydrożnym pyłe, podczas gdy jego wielbłądy pociągnięto na bok.

Wieść o zatrzymaniu Latifa musiała błyskawicznie dotrzeć na przód karawany, gdyż Yussuf natychmiast przygalopował wzdłuż ustawionych w linii zwierząt.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął, zanim jeszcze zsiadł z konia.

– Jestem tu w sprawach Świątyni – głos Szawła był zimny niczym trzymany w gotowości sztylet. – Ostrzegam, nie wtrącaj się.

– Ale ten człowiek jest Syryjczykiem!

– Jest *Judejczykiem* pochodzącym z Syrii! Dlatego obowiązuje go prawo Świątyni – oczy Szawła zwięzły się. – I ciebie również.

Sznur wielbłądów Jamala przeszedł powoli obok nich. Jakub trzymał głowę zwieszoną tak, by jego twarz pozostawała ukryta w fałdach chusty. Usłyszał, jak Yussuf pyta śmiało:

– Z czyjego rozkazu?

Szaweł sięgnął pod swoją szatę i wyjął zwój.

– Jestem tu z polecenia Sanhedrynu, który wydał rozkaz aresztowania tego człowieka.

Choć Yussuf, były legionista, wielokrotnie odpierał ataki bandytów i walczył w trakcie pustynnych burz, to widok zwoju z pieczęcią Świątyni onieśmielił go.

– Latif jest moim zaufanym przyjacielem – powiedział drżącym głosem.

– To powinieneś lepiej sobie dobierać przyjaciół, jeśli nie chcesz podzielić jego losu.

Jakub usłyszał w tym zdaniu więcej niż ostrzeżenie. Wyczuł w Szawle z Tarsu nieugiętość, nieprzejednanie – sprawdziło się wszystko, co mówiły o nim pogłoski, a nawet było gorzej. Stał przed nim człowiek tak pewny swego autorytetu, że każdego, kto chciałby mu się sprzeciwić, gotów był skazać na śmierć – z premedytacją, szybko i bez skrępowań. Jakub cieszył się, że może się przed nim skryć za wielbłądem.

Z trzęsącymi się nogami przeprowadził konia przez bramę. Usłyszał, jak Yussuf mówi, tym razem śmieiej:

– A co z jego wielbłądami? Czy one też są zatrzymane?

Tym razem przemówił drugi z faryzeuszy. Był to głos człowieka, który kiedyś starał się o rękę jego siostry, lecz jednak jakiś inny. Teraz brzmiał chłodniej, surowiej, miał w sobie tę samą nieprzejednaną siłę, co głos Szawła.

– Powiedziano nam, że ten człowiek jest wyznawcą zakazanej sekty oraz przemyca kontrabandę.

W tym momencie Yussuf poczuł się pewniej.

– To przeszukajcie jego towary. Lecz wielbłądy należą do Jamala, który jest jego i moim panem.

Ezdrasz zawahał się.

– Czy mówisz o Jamalu, kupcu mieszkającym w Tyberiadzie i Damaszku?

– Nie inaczej.

– W takim razie nie możemy wziąć wielbłądów – głos Ezdrasza utracił nieco ze swej wojowniczości.

– A co z towarami? Mam je zostawić na środku drogi, żebyście wszystko rozbebeszyli i wzięli, co wam się spodoba?

– Nie jesteśmy pospolitymi złodziejaskami! – wykrzyknął Szaweł.

Yussuf nic nie odpowiedział.

– Towary trzeba przejrzeć – powiedział Ezdrasz. – Zrobimy to niezwłocznie. Jeśli wszystko będzie w porządku, będziesz mógł je zabrać.

Jakub zwolnił kroku na tyle, na ile się odważył, dopóki nie przeszedł ostatni z zasłaniających go wielbłądów. Usłyszał, jak Yussuf pyta:

– A co będzie z Latifem?

– Już ci powiedziałem – warknął Szaweł. – Powinieneś ostrożniej dobierać sobie przyjaciół.

– Słyszę i będę posłuszny. Proszę was jedynie, byście się pośpieszyli z przeszukiwaniem. To opóźnienie może...

Niecierpliwy ruch ręki Szawła uciszył dalsze obiekcje.

Jakub zaryzykował spojrzenie za siebie. Serce go bolało na widok Latifa klęczącego na drodze z zaciśniętymi powiekami, z rękami przyciśniętymi do piersi i ustami poruszającymi się bezgłośnie, niewątpliwie w żarliwej modlitwie. Jakub tak bardzo pragnął zawrócić, popędzić konia, wyciągnąć miecz i... *I co dalej?* Co mógł zrobić jeden człowiek przeciwko dwóm legionistom i grupce uzbrojonych strażników świątynnych? Jakub odwrócił się z powrotem w stronę drogi, kryjąc się za koniem, by w ten sposób mniej rzucać się w oczy.

– Jakubie! – zawołał za nim Yussuf. – Jedź przodem i powiedz innym, co się stało. Jedźcie drogą wzdłuż wybrzeża. Dojadę, jak skończą przeszukiwanie.

Jakub wsiadł na konia i podniósł rękę. Jego usta próbowały powiedzieć: „Słyszę i będę posłuszny”, lecz gardło było zbyt ści-

śnięte, by wydobył się z niego jakikolwiek dźwięk. Kopnął konia w boki piętami i pogalopował do przodu.

Do tej pory nigdy nie uważał siebie za tchórza. Teraz to się zmieniło.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jerozolima

Linuks spał do późna i obudził się na pół przytomny. Miał nadzieję, że wkrótce uda mu się pozbyć zmęczenia, które wciąż odczuwał po długiej podróży. Rozejrzał się po warsztacie i zwinął swoje posłanie, po czym chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz, by umyć twarz tak, jak zrobiłby to pospolity żołnierz, czyli po prostu zanurzyć głowę w beczce z wodą stojącą na tyłach budynku. Jozjasz i jego uczniowie zaśmiali się na widok ociekającego wodą Rzymianina, który dopiero co spał pod postrzępionym kocem obok ich pieca w warsztacie. Sen żołnierza był tak mocny, że nie obudziło go nawet zgrzytanie miechu ani odgłosy walenia drewnianymi młotami. Gdy Linuks podniósł znad beczki ociekającą wodą głowę, natychmiast wsadził ją z powrotem i zanurzył jeszcze raz. Tym razem, gdy się wynurzył, z jego ust wytrysnęła fontanna wody, która dosięgła stojących najbliżej rzemieślników. Starali się przed nią uskoczyć, śmiejąc się jeszcze głośniejsze.

Jozjasz rzucił mu ścierkę, którą właśnie sam wytarł ręce. Linuks osuszył twarz, skinął głową w podziękowaniu i wziął od najmłodszego z uczniów Jozjasza czerpak z wodą. Napił się i wrócił do pracowni. Usiadł na podłodze obok posłania Albana.

– Gdzie nasz Jakub?

– Wyjechał jeszcze przed świtem. Jego karawana jest już pewnie w drodze do Cezarei.

Słyszając tę nowinę Alban nie okazał żadnych emocji. Linuks uznał, że przyjaciel musi być myślami gdzieś indziej.

– Czy coś cię trapi? – nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Jakub świetnie sobie poradzi.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – Alban zawahał się, po czym dodał: – Ja i on... No cóż, poróżniliśmy się.

– Ale czym się tak martwisz?

Alban opowiedział o straganie w Samarii, podarowanym mu przez Jamalą. Linuks wysłuchał, po czym powiedział z powątpiewaniem:

– Trudno mi wyobrazić sobie Jakuba w roli kupca.

– Byłby bezpieczny. Miałby stabilną pracę, a stragan zapewniłby mu świetny dochód.

– Ale ile Jakub ma teraz lat? Dwadzieścia? Nie marzy mu się ciepła posadka w środku samarytańskich równin. On pragnie przygód.

– A to są najbardziej niebezpieczne czasy na szukanie przygód.

– Na pewno dobrze go wyćwiczyłeś – Linuks, widząc, że Alban ma gotowe kolejne argumenty, szybko zmienił temat. – Wyglądasz dziś lepiej.

– Nie mogłoby być inaczej – nawet głos Albana brzmiał gło-

śniej, zdrowiej. – Jestem wśród przyjaciół, chroniony przez wiarę, otoczony modlitwą i troską, po prostu kochany.

– Mówisz o niebie na ziemi – powiedział Linuks, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Tak – ton Albana złagodniał. – A w domu czekają na mnie dwie najukochańsze osoby. To doprawdy kawałek nieba na ziemi – popatrzył na przybity gwoździem do przeciwległej ściany drewniany krzyż, po czym potrząsnął głową. – Gdyby tylko wszyscy wierzący byli w takiej sytuacji jak ja...

Linuks jakoś nie zauważył wczoraj tego krzyża. Pierwszy raz widział taką rzeźbę.

– Jest aż tak źle?

– Wkrótce może być jeszcze gorzej – Alban wskazał na krzyż. – W nocy Jozjasz obudził się nagle i poczuł ogromny strach o swoją rodzinę i uczniów. Gdy się modlił, zobaczył wizję tego krzyża. Rzeźbił go, podczas gdy wszyscy w domu spali. Dziś rano widziałem, jak go tu przymocowuje.

– Tak się właśnie zastanawiałem, dlaczego go wczoraj nie zauważyłem – Linuks pokiwał głową nie tyle w odpowiedzi na słowa Albana, co na swoje własne myśli. Bez zdziwienia przyjął fakt, że Jozjasz przyszedł do Pana na kolanach, a Pan przemówił do niego przez obraz. Być może nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał mistrz stolarski, lecz pokój, który Linuks odczuwał patrząc na ten krzyż, palił go w piersi.

Dla Judejczyków krzyż był chyba najbardziej zniechęcającym symbolem rzymskiego panowania. Ten śmiertelny znak stanął na zbyt wielu wzgórzach, zwiastując najbardziej haniebną śmierć, a przedtem długą mękę, niosącą wstyd wszystkim, którzy byli jej świadkami.

A teraz wisiał tu, dając nadzieję przekraczającą ich zmartwie-
nia i lęki. Samo patrzenie na ten kawałek wyrzeźbionego drewna
podnosiło Linuksa na duchu, niosąc go na skrzydłach obietnicy:
silnej i wiecznej.



Linuks patrzył jak Abigail, Marta i mała Dorcas dołączają do
grupy zbierającej się na popołudniowy posiłek. Rodzina Jozjasza
wraz z kilkoma innymi klanami spokrewnionymi z jego uczniami
i innymi rzemieślnikami, zebrała się na modlitwę, po czym jadła
w milczeniu, co najwyraźniej było przyjętym w tym domu zwycza-
jem. Nie przestrzegała go tylko Dorcas. Córeczka Abigail, bystra
i pogodna czterolatka, jadła z talerza mamy, a potem bawiła się
w cieniu pod stołem. Szczebotała coś do małej szmacianej lal-
ki i śpiewała urywki pieśni chwalących Boga. Widząc to Linuks
uśmiechał się i tęsknił za pozostawionymi w Italii bratanicami.
Chmury rozproszyły się i wiatr nie był już tak silny. Ustawione
na tylnym podwórzu stoły otaczał długi rząd palm daktylowych.
Cała okolica pachniała trocinami, klejem, dymem i męskim po-
tem – dowodem ciężkiej pracy mężczyzn. Linuks byłby zupełnie
zadowolony, gdyby nie smutne twarze ludzi, którzy go otaczali.

Po posiłku Marta wyniosła matę, na której spał Alban i ułoży-
ła ją pod bocznym murem. Alban był pewny, że da radę usiąść
przy stole i próbował ją do tego przekonać, lecz kobieta rze-
kła twardo:

- Położysz się tu, gdzie słońce ogrzeje ci kości.
- Ale ja wcale...
- Zrób, co ci powiedziała, przyjacielu – ostrzegł żartobliwie
Linuks.

Alban zrzędził dalej, ale położył się posłusznie w wygodnej po-

zycji. Podeszedł do nich Jozjasz, którego przedramiona upstrzone były trocinami. Wytarł dłonie o ścierkę wiszącą u jego pasa.

– W nocy zaginał kolejny z naszych braci.

Jego ściszony głos i twarz mówiły więcej niż słowa.

Obok niego stanęła jego żona i podała mu chochlę ze świeżą wodą.

– Tak robią ludzie Szawła. Przychodzą w nocy i biorą, kogo im się podoba, a jak ktoś protestuje, machają przed nosem rozkazem ze Świątyni.

Jozjasz potrząsnął głową.

– Nie wiem, co bym zrobił, gdyby zabrali któregoś z moich chłopców.

– Opuszczamy to miasto – powiedziała kobieta, również ścisząc głos. – Jutro o świcie.

– Ten dom należał do mojej rodziny od siedmiu pokoleń – powiedział Jozjasz. – Ta ziemia i ta praca. Mój ojciec był cieślą, a przed nim jego ojciec. Jerozolimę mam we krwi.

– Przecież nie uciekasz – zapewniła go żona, z pewnością powtarzając argument użyty we wcześniejszych rozmowach. – Ratusz naszą rodzinę.

– Mam niedokończone prace, obiecałem ludziom...

– Zabierasz narzędzia ze sobą. Wszystko możesz tu przysłać, jak będzie gotowe.

– To nie to samo. Muszę być tutaj, żeby dostawać nowe zamówienia.

– A jeśli zabiorą ciebie i twoich synów, co nam to da, że będzie więcej zamówień?

W jej słowach nie było gniewu, nie próbowała też narzucać swojego zdania. Ich dyskusja najwyraźniej podążała dawno już wydeptaną ścieżką.

– Znaleźliśmy farmę oliwną niedaleko Sebastii – kobieta zwróciła się do Albana i Linuksa. – Jest tam stara stodoła, gdzie mój mąż może pracować. Drewna jest pod dostatkiem. I jest spokój. Wyruszamy o świcie.

Jej skinienie głową było równie zdecydowane jak ton głosu.

Jozjasz przywodził jej niechętnym skinieniem, po czym zwrócił się do milczących świadków tej wymiany zdań.

– Możecie tu zostać tak długo, jak tylko chcecie.

– Wszyscy powinniście opuścić Jerozolimę najszybciej jak to możliwe – powiedział Alban ze swego posłania.

Marta tylko zerknęła na Abigail.

– Ja nie mogę wyjechać – powiedziała cicho dziewczyna.

Żona Jozjasza westchnęła, ale nic nie rzekła. Wiatr zaszeleścił palmowymi liśćmi nad ich głowami. Linuksowi zdało się, że nawet pogoda nie zgadza się z decyzją Abigail.

– Muszę kontynuować dzieło Szczepana – powiedziała. – Służę wdowom i sierotom. Oni nie mają nikogo, nie mają gdzie...

– Z każdym dniem jest ich w Jerozolimie coraz mniej – wtrąciła żona cieśli, patrząc na swoje ręce. Mówiła tym samym, pozbawionym emocji tonem, którym przed chwilą zwracała się do męża.

– Czuję, że Bóg jest obecny. On mnie prowadzi i pociesza. On nas będzie chronił.

Podniosła córeczkę i przytuliła ją, aż Dorcas zaczęła się wiercić.

– A nie możesz wykonywać Bożych dzieł gdzie indziej? – spytał Alban.

Abigail poprawiła swój szal.

– Pozostanie w Jerozolimie jest dla mnie ważne. W jakiś sposób odczuwam, że Szczepan... że jego błogosławieństwo jest tutaj.

Alban zmienił pozycję na swym posłaniu. Wszystkie oczy prócz Abigail skierowały się na niego. Lecz Linuks, który oczekiwał, że Alban nadal będzie się upierał przy swoim, srodze się zawiódł, gdy ten opowiedział zebrany, że kupiec Jamal podarował mu stragan w bardzo dobrym miejscu, na skrzyżowaniu szlaków handlowych na równinie Megiddo w Samarii, a wraz ze straganem dom w pobliskiej wiosce. Dodał, że Jakub odmówił pracy w tamtym miejscu, upierając się przy tym, by dalej pracować jako strażnik karawany.

Po jego słowach zapadła cisza. W końcu odezwała się Abigail:

– Muszę zostać również ze względu na Martę. Bola ją stawy.

Podróż tylko by...

– Nie używaj mnie jako wymówki – przerwała jej Marta. – Jeśli o mnie chodzi, mogę wyruszyć choćby i dziś.

– Ale nie chciałaś dołączyć do Marii i Łazarza u was w domu – powiedziała Abigail.

– Jakże mogłabym cię tu zostawić samą, kochana? Przecież słyszysz, co się dzieje. Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Nadciągają chmury. Zbliża się burza.

– Pomyśl o swojej córeczce – wsparła ją żona Jozjasza. – Jeśli zabiorą cię ludzie Szawła, co stanie się z Dorcas?

– O niczym innym tak nie myślę – szepnęła Abigail i rogiem szala otarła łzy. – Ale jeśli wyjadę z Jerozolimy, utracę ostatnie ogniwo łączące mnie ze Szczepanem... – głos jej się załamał.

– Szczepan oczekuje cię na końcu twojej drogi – rzekł Alban. – Tego jestem absolutnie pewny.

– Nie jestem pewien, ile powinienem teraz powiedzieć, ale gdy ostatni raz rozmawiałem ze Szczepanem, poprosił mnie, żebym cię chronił najlepiej jak potrafię – z wahaniem odezwał się Linuks. – Czuję, że moim obowiązkiem wobec niego, jak i wobec

Boga, jest powiedzieć ci, że wszystko, co inni ci mówią, to święta racja. Ja jestem tu dopiero od kilku dni, a już i tak wiem, że sytuacja jest znacznie groźniejsza, niż wcześniej słyszałem. Sanhedryn uważa wierzących za znacznie większe zagrożenie niż to ze strony zelotów. A nowy konsul w tej sprawie dał Radzie Świątynnej wolną rękę. Trybun palcem nie kiwnie, żeby was ochronić. Wszystko to oznacza jedno: jeśli zostaniesz w tym mieście, najprawdopodobniej cię aresztują... Albo jeszcze gorzej.

Abigail nic nie powiedziała.

– A co z Albanem? – spytała Marta. – Jest chory. Nie możemy go tu tak zostawić.

– Mogę załatwić wóz – odparł Linuks, a widząc niechęć na twarzy Albana, dodał: – Nie, przyjacielu, nie kłóć się ze mną. Nie tym razem. Będę podróżował z tobą i dopilnuję, żebyś się nie przemęczał. Poślemy wiadomość do Lei do Kafarnaum, że wracasz do zdrowia i że wkrótce będziesz w domu.

Dorcas musiała zauważyć zaniepokojenie mamy. Stała, w jednej ręce ściskając lalkę, a drugą pociągając za szal Abigail.

– Mamo. Mamo?

Abigail posadziła dziecko na kolanach, pogłaskała po twarzy i wzdychając, krótko skinęła głową.

Żona cieśli przysunęła się bliżej męża i powiedziała:

– Ruszamy wszyscy o świcie.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Droga do Joppy

Jakub dobrze znał dwa szlaki wiodące z Jerozolimy do Cezarei. Zaczynały się jako jedna droga wiodąca przez wzgórza na zachód od Jerozolimy. Dalej, gdy droga schodziła na równiny, główny szlak Rzymian kierował się na północny zachód niemalże w linii prostej aż do miejsca docelowego na wybrzeżu. Droga ta była wybrukowana, więc łatwiej było po niej iść wielbłodom, lecz prowadziła przez niezamieszkałe tereny. Na tym pustym odcinku narastała aktywność band zelotów. Bezpieczniejszy szlak nadbrzeżny, jak głosiły legendy, powstał jeszcze za czasów króla Dawida, lecz miejscami była to ledwie skalista ścieżka.

Gdy dotarli do rozstaju dróg, Yussuf jeszcze do nich nie dołączył. Jakub wątpił, by ktokolwiek inny z obsługi karawany usłyszał ostatni rozkaz, który wydał mu Yussuf. Obawiał się, że poganiacze lub strażnicy, którzy go nie znali, będą się z nim kłócić i stawiać opór, kwestionując jego tymczasowe dowództwo.

Yussuf był silnym i doświadczonym mistrzem karawan, a mianował go sam Jamal. Jakub był tylko jednym ze strażników, nic nie znaczył, zwłaszcza teraz, gdy Alban leżał chory w Jerozolimie. Jakub był pewien, że przynajmniej niektórzy zakwestionują jego prawo do dowodzenia.

Gdy wchodzili w ostatni zakręt drogi, która następnie schodziła w dolinę, Jakub, który do tej pory zamykał karawanę, popędził konia do przodu. Spodziewał się, że któryś z poganiaczy lub strażników zakwestionuje jego poczynania, lecz zamiast tego wielu z tych, których mijał, machnęło pejcami, co było rodzajem pustynnego zaszalutowania.

Jakub dojechał na czoło karawany, gdy do rozstaju dróg pozostał mniej więcej jeden stadion. Zrównał tempo ze strażnikiem otwierającym karawanę, którego imienia nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć.

- Znasz drogę przed nami? – spytał.
- Nigdy nie podróżowałem dalej na zachód niż tu.
- Jesteś z Syrii?
- Z Nabatei.

To zaniepokoiło Jakuba. Nabatea była niewielkim królestwem na południe od Syrii. Bywało, że sprzymierzała się z Partami i była znana jako raj dla bandytów. Co więcej, podobno zeloci płacili za zgodę na budowanie na jej terenie stałych obozowisk, znajdujących się w ten sposób poza zasięgiem rzymskich żołnierzy.

Na twarzy Jakuba musiało odmalować się zaskoczenie, gdyż strażnik dodał:

- Yussuf mi ufa. Jamal także.
 - Ja również. Mam na imię Jakub.
- Strażnik podniósł dłoń.
- Hamman. Jesteś synem Albana?

– Nie, to mój opiekun – Jakub zawahał się, po czym dodał:
– Urodziłem się w kupieckiej rodzinie. Nasza karawana została zaatakowana, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Tylko ja zostałem uratowany przez rzymskich żołnierzy pod wodzą Albana.

Strażnik powoli pokiwał głową, po czym rzekł:

– A bandytami byli prawdopodobnie Nabatejczycy lub Partowie sprzymierzeni z moim krajem. Masz dobry powód, by być zaskoczonym, że mnie tu spotykasz.

Jakub nie odpowiedział na jego komentarz. Zamiast tego powiedział:

– Jeden z nas musi jechać na końcu. Tył karawany jest niestrzeżony.

– Znasz drogę wzdłuż wybrzeża?

– Jechałem tędy wiele razy. Ale Jamal wyznaczył ciebie, żebyś dowodził karawaną – dodał powoli Jakub.

– Ci, którzy cię znają, mówią, że jesteś tak samo godny zaufania jak Alban – Hamman zawrócił konia. – Jadę osłaniać tyły.

Jakub zasalutował mu zwyczajem arabskim, kciukiem i palcem wskazującym dotykając kolejno czoła, ust i serca. Strażnik odpowiedział tym samym, po czym odjechał.

Gdy pierwsze zwierzęta dotarły do rozstaju dróg, Jakub zrobił to, co w tym wypadku zrobiłby sam Yussuf. Podniósł się na strzemionach, stanął w siodle i zagwizdał wystarczająco głośno, by było go słychać daleko z tyłu karawany, po czym zamachnąwszy się ręką wykonał jeden płynny ruch i wskazał na drogę przed sobą.

Z przodu karawany krajobraz wydawał się bardziej rozległy. Wszystko, co Jakub teraz widział, rysowało się z krystaliczną przejrzystością. Równina rozciągała się przed nim jako morze skał i piachu. Po lewej stronie, na południe od szlaku, ciemne

chmury sunęły z powagą, precyzyjnie zrzucając na ziemię kolumny deszczu. Za nim w swym odwiecznym splendorze wznosiły się wzgórza: tam, gdzie zbierały się chmury – szare i zaciemnione, zaś w miejscach, gdzie dotykały ich promienie słoneczne – w kolorze ochry i złota. Karawana rozciągała się za nim na rzymską milę. Jakub odwrócił twarz z powrotem ku pustej drodze wiodącej na zachód. Wziął głęboki oddech i próbował sobie powtarzać, że wdycha to samo chłodne, suche powietrze, co dziś rano. Nigdy jeszcze nie jechał z przodu karawany. To było miejsce Albana, Yussufa lub Jamala. Każdy wdech pachniał przygodą i odrobiną strachu.



Gdy karawana dojechała do pierwszego nocnego postoju, Yussuf wciąż jeszcze do nich nie dołączył. Droga skręcała teraz na południe. W tym miejscu odchodził od niej pomniejszony szlak wiodący na północ, a na rozstaju obu dróg wyrosła wioska. Miejsce postojowe dla karawan, ogrodzone krzewami cierniowymi, znajdowało się na wschód od wioski. Rozpadający się płot wyznaczał teren dla podróżnych.

Gdy zbliżała się długa procesja wielbłądów, koni, wozów i poganiaczy, Jakub czuł na sobie wzrok wielu par oczu. Był najmłodszy i najmniej doświadczony ze strażników i znał z imienia mniej niż połowę poganiaczy. Lecz gdy nikt inny się nie zgłosił, Jakub pojechał przodem do starszyny wioski, która już ich oczekiwała.

Karawany stanowiły główne źródło utrzymania dla wioski. Jakub ostro się targował, w obawie, że cena, którą mu zaoferowano za paszę, wodę oraz jeden nocleg w obozie jest zbyt wysoka. Wzruszył ramionami, wznosił bicz i wskazał karawanie północny kierunek. Widział nieraz, jak Yussuf używa tej metody, gdy

uznawał, że narzucają mu zbyt wysoką opłatę. Ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Yussufa nie było w pobliżu, a poganiacze mieli słuszne powody, by sprzeciwić się rozkazowi Jakuba. Zaczęli podróż jeszcze przed świtem; zarówno ludzie, jak i zwierzęta byli utrudzeni. Czując odpowiedzialność za towary i denary mistrza karawany, Jakub gwizdnął tak samo jak Yussuf, gdy ten dawał znak, żeby ruszać dalej... i wstrzymał oddech, bo oto poganiacze jak jeden mąż zaczęli kierować zwierzęta na szlak północny. Nie było słycać zrzędzenia czy protestów, nikt nie kwestionował decyzji i przywództwa Jakuba.

Starszyzna wioski natychmiast zaczęła krzyczeć, by się zatrzymali, oferując cenę ponad połowę niższą od tej, której zażądała wcześniej.

Jakub zagwizdał po raz drugi, wskazując, by wielbłądy prowadzące karawanę weszły do obozu. Zsunął się z siodła i stanął przy bramie, gdy wchodził przez nią pierwszy sznur zwierząt. Dopiero gdy minęły go ostatnie wielbłądy, a Hamman zasalutował wjeżdżając przez bramę, Jakub odetchnął z ulgą.



Jakub nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić, jak wypełniać obowiązki, które zostały przed nim postawione. Próbował więc zachowywać się tak, jak jego zdaniem zachowałby się Alban.

Najpierw podszedł do Hammana, najstarszego z nowych strażników. Jakub przy wszystkich zasalutował jeszcze raz i oficjalnie podziękował za jego pracę. Potem poprosił go o pomoc w wyznaczaniu zmian warty. Jakub wyjaśnił mu również, na tyle głośno, by jego słowa dosłyszeli najbliższe stojące poganiacze, że przejmuje odpowiedzialność za wielbłądy Latifa i musi je rozładować oraz nakarmić.

Wszystko poszło dobrze. Mężczyźni zareagowali, jakby Jakub już był nowym dowódcą strażników. Mimo to młodzieniec tęsknił za Albanem bardziej niż kiedykolwiek. Pierwszy raz pojechał w trasę bez swego mentora i opiekuna, i brakowało mu go, nawet jeśli dopiero co się poróżnili. Poza tym przeszywał go smutek z powodu Latifa. Jakub mimowolnie zastanawiał się, czy gdyby Alban był z nimi, to wymyśliłby coś, co mogłoby uratować ich brata w wierze. Może gdyby Jakub był lepszym albo odważniejszym człowiekiem...

Jakub przejął od głównego poganiacza trzy wielbłądy należące do Latifa. Mężczyzna ten, jeden z wujów Yussufa, wiedział, że nie należy o nic pytać. Jakub poprowadził zwierzęta bliżej wejścia, gdzie mógł się nimi zająć, a jednocześnie nadzorować obóz. Gdy przywiązywał wielbłądy, najmniejszy z nich, samica o dość złośliwym usposobieniu, próbował uszczypnąć go w ramię. Jakub zareagował tak jak robili to poganiacze w stosunku do zwierząt, które się źle zachowały; smagnął samicę po szyi skórzanym biczem i krzyknął tak głośno, że przestraszył kilka stojących najbliżej zwierząt.

Poganiacz rozładowujący obok towar zaśmiał się i powiedział:

– Ta mała potrafi być wredna. Latif mówi, że ona uważa się za zbyt urodziwą do takiej pracy.

Wielbłądzica rzeczywiście była ładna. W zachodzącym słońcu jej sierść mieniła się na brązowo. Patrzyła na niego z wyrzutem swymi ogromnymi ciemnymi oczami, okolonymi przez długie rzęsy. Dotknął jej karku i poczuł, jak wielbłądzica poruszyła się nerwowo. Przemówił do niej łagodnie, dotykając przy tym zgięcia jej kolan pejcem. Zwierzę bez dalszych protestów uklękło na ziemi.

– Potrafisz obchodzić się ze zwierzętami – pochwalił go poganiacz. – Latif dobrze zrobił, że poprosił cię o pomoc.

Jakub oparł się pokusie, by odpowiedzieć, że właśnie wcale nie pomógł Latifowi. Zamiast tego przymusił kolejno wielbłądy, by uklęły z brzuchami na ziemi, po czym odwiązał każdemu uprząż, pozdejmował z ich grzbietów ładunki i poukładał na jedną wielką stertę. Inni poganiacze obserwowali, jak Jakub kieruje wielbłądy tak, by uformowały trójkąt wokół towarów. Ich wyraz twarzy wskazywał, że doceniają jego pracę.

Jakub przechodził od jednego zwierzęcia do drugiego, wyciągając z ich pysków kawałki drewna, a potem dokładnie sprawdzając każde kopyto, czy nie ma jakichś uszkodzeń. Wielbłądy dobrze znosiły intensywne upały i potrafiły wytrzymać całe dni bez wody, lecz miękkie poduszki ich kopyt były bardzo wrażliwe. Gdy Jakub dotarł z ogłędzinami do ostatniego wielbłąda, znów poczuł się przytłoczony tą całą sytuacją. Przez cały dzień wielokrotnie zalewała go ogromna fala poczucia winy i zmartwienia. Chwycił grzywę zwierzęcia, oparł głowę o jego długą szyję i modlił się, prosząc o bezpieczeństwo dla Latifa. Modlił się, by Latif mu przebaczył, i aby Bóg mu przebaczył. *Ale co ja mogłem zrobić? Coś na pewno mogłem...* Tego typu myśli przebiegały przez jego strapiony umysł. Samica jakby wyczuwała cierpienie Jakuba, bo wydała z siebie długi, niski pomruk.

Gdy Jakub podniósł głowę, ujrzał stojącego przy nim Hammana.

– Straże postawione, warty nocne wyznaczone. Starszyzna z wioski przyszła z jagniętami, żebyś je obejrzał.

Jakub wyprostował się powoli. Dostrzegł ciekawość w oczach strażnika, więc wyjaśnił:

– Ciężko mi na sercu z powodu Latifa. Powinienem był mu pomóc.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Po Latifa przyszli świątynni kapłani, strażnicy i rzymscy żołnierze. Jakakolwiek interwencja z twojej strony byłaby szaleństwem.

– Ale na pewno jest coś, co można...

– Jest. Wzięłeś odpowiedzialność za jego wielbłądy i za towar Jamala. Modlisz się o jego bezpieczeństwo. Wszystko inne leży daleko poza twoimi obowiązkami.

Bezpośredniość i praktyczne podejście strażnika pozwoliły Jakubowi spojrzeć z dystansem na swój żal.

– Zobaczmy, co ci starsi nam oferują na kolację.

Tak jak im obiecano, jagnięta były młode i dobrze odkarmione. Jakub oglądał uważnie każde jagnię tak, jak zawsze robił to Yussuf. Starszyzna, wciąż przestraszona groźbą wyjazdu karawany, zaoferowała jeszcze worek mielonej kukurydzy oraz kosz świeżych ziół i przypraw: kolendry, mięty i kuminu. Jakub zachowywał się tak, jakby w ogóle nic się nie stało. Skłonił się nisko i podziękował za gościnność.

Jakub doglądał przygotowywanego posiłku, upewniając się, czy każdy poganiacz i strażnik dostał taką samą porcję, z każdym też krótko porozmawiał. Niezliczoną ilość razy widział Albana przy takiej pracy. Nim wrócił do zwierząt Latifa, była już noc. W obozie żarzyły się trzy ogniska, wyrzucając iskry w rozgwieżdżone niebo.

Jakub zdecydował, że czas przejrzeć towary Latifa.

Śpiące zwierzęta zasłaniały go przed wzrokiem innych. Każdy wielbłąd wiózł cztery amfory – gliniane naczynia sięgające mu do pasa, używane zarówno w transporcie lądowym, jak i morskim. Cztery pełne amfory mogły ważyć tyle, co trzech mężczyzn.

Szyja każdego naczynia była zapieczętowana drewnianą zatycką. Jakub wybrał jedną z nich, odwiązał od innych i podważył nożem. Jego nozdrza natychmiast wypełnił intensywny aromat cynamonu. Odetkał kolejną i nocne powietrze wypełniło się zapachem goździków.

To rzeczywiście była zagadka. Przecież handel tymi towarami nie był w żaden sposób zabroniony. Latif, jeśli tylko zapłacił podatki, mógł z tymi produktami jeździć po całym imperium.

Wiedziony nagłym impulsem Jakub zanurzył rękę w naczyniu z cynamonem. Jego palce natknęły się na jakąś paczuszkę ukrytą głęboko w przyprawie.

Jakub przeszukał po kolei wszystkie naczynia i znalazł szesnaście takich paczuszek. W końcu zamknął amfory, a zdobyte trofea owinał jednym z koców, służących jako siodła. Siedział tak dość długo, aż kwarta księżycza zaczęła schodzić z nieba. Do jego świadomości dotarło, że sekret Latifa, czymkolwiek był, może i jego kosztować życie.



Przyjazd Yussufa zwiastował wpierw nikły dźwięk niesiony nocnym wiatrem. Było to stapanie i ciche parskanie zmęczonych zwierząt. Jakub siedział skulony w wozie przy drodze, na południe od obozu. Pozostał w ukryciu do momentu, gdy mógł już rozpoznać sylwetkę Yussufa. Gdy był pewny, że mężczyzna jest sam, delikatnie zagwizdał.

Ktokolwiek by to usłyszał, mógłby pomyśleć, że to wołanie nocnego ptaka, lecz Yussuf od razu mlasnął na wielbłądy, by się zatrzymały i zsunął się z konia. Gdy jego stopy dotknęły ziemi, jęknął naśladując wielbłąda, po czym podszedł do zwierzęcia, które szło jako pierwsze i poklepał je po szyi.

– Nie mów, że wbił ci się cierni – powiedział schylając się, by obejrzeć jego kopyto.

– To ja, Jakub – szepnął chłopak.

– Wiem, że jesteś zmęczony – powiedział Yussuf do wielbłąda, który mruknął cicho w odpowiedzi. Mężczyzna ukucnął przy przedniej nodze zwierzęcia. – Niech no spojrzę, a zaraz potem przejdziemy jeszcze kawałek i odpoczniemy do końca tej krótkiej nocy.

– Znalazłem ukryty towar, który Jamal powierzył opiece Latifa – powiedział Jakub schrypniętym głosem.

Wielbłąd parsknął, mruknął i pozwolił Yussufowi podnieść swoją nogę. Mężczyzna dokonał pobieżnej inspekcji kopyta i mruknął:

– A czy ja chcę wiedzieć, co to jest?

Jakub zawahał się. Też się nad tym zastanawiał, odkąd poczynił swe odkrycie.

– Nieważne – odezwał się Yussuf. – Skoro Jamal trzymał to przede mną w tajemnicy przez tak długi czas, to musiał mieć dobry powód. Powiedz mi tylko jedno. Czy moja karawana uczestniczy w przemyśle?

Odpowiedzi na to pytanie Jakub był pewny.

– Ani ty, ani Jamal nie złamaliście prawa rzymskiego ani judejskiego.

Yussuf wyjął zza pasa nóż i poskrobał kopyto zwierzęcia.

– Szaweł i ten judejski kupiec o żmijowej twarzy rozpakowali towar Jamala na ziemi i przeszukali go – w jego tonie, choć mówił szeptem, słychać było wściekłość. – Kiedy nie mogli znaleźć tego, czego tam szukali, byli naprawdę wkurzeni. Strasznie długo mnie przetrzymali i dlatego musiałem jechać przez wzgórza nocą. Dzięki Bogu wielbłądy Latifa, jak wynika z tego, co

mi mówisz, były już wtedy z tobą daleko na północy. Moja mała karawana nie zakłóciła snu żadnym bandytom. Gdyby nie ten godny pożałowania widok Latifa w kajdanach, to bym się nawet uśmiechał.

Jakub kucnął za krzewem i, nadal targany wyrzutami sumienia, rzekł:

– Gdybym tylko mógł wtedy coś zrobić... jakoś go uratować...

– Miałeś na tyle zdrowego rozsądku, żeby się schować – ton Yussufa nabrał surowych barw. – W przeciwnym razie zostałbyś zakuty w kajdany razem z Latifem, a ja miałbym jeszcze jednego zaufanego człowieka mniej.

Pięści Jakuba zacisnęły się i wbiły w twardą ziemię.

– Okazałeś się silniejszym człowiekiem niż ja. Postawiłeś im się, nawet gdy grozili ci śmiercią. A ja nie zrobiłem nic, żeby bronić mojego brata w wierze.

Yussuf parsknął.

– Mało wiem o sprawach takich jak wiara i prorocy. Ale jedno wiem na pewno. Możesz teraz wdychać to nocne powietrze i chodzić wolny po tej ziemi, bo dziś się ukryłeś. A Latif? Nic przy nim nie znaleźli, a i tak go zatrzymali. Czego szukali, co mieli nadzieję znaleźć, nie wiem, ani nawet nie chcę wiedzieć. W dzisiejszych czasach im mniej się wie... – nie dokończył zdania, wzruszając ramionami.

Jakub zdecydował, że dalsza dyskusja na ten temat do niczego nie prowadzi.

– Muszę zanieść tajemnicę Latifa do Jamala.

Yussuf puścił kopyto, poklepał zwierzę po boku i powoli się wyprostował.

– Chcesz sam pojechać do Tyberiady?

– Długo nad tym myślałem. Jeśli ten judejski kupiec, Ezdrasz, myśli, że coś wie, to nie wiadomo, kto jeszcze może próbować wybadać tajemnicę Jamala. Najlepiej będzie, jak pojedę sam, jako biedny podróżny – Jakub wskazał za siebie, po czym zorientował się, że Yussuf i tak nie widzi jego gestu. – Wziąłem twoje dwa osły. Hamman mnie zobaczył, jak wychodziłem. Powiedziałem tylko, że muszę zdać raport Jamalowi i że będę cię wypatrywał na drodze.

– Hamman to dobry człowiek, jak na Nabatejczyka. Nic nikomu nie powie. Masz jakąś broń?

– Mam miecz, nóż i laskę.

Jakub zobaczył, że Yussuf schyla się nieco, po czym usłyszał delikatny brzęk metalu.

– Masz tu sakiewkę z monetami.

Yussuf mlasnął łagodnie i pociągnął uzdę pierwszego wielbłąda. – Obawiam się, że ten ostatni kawałek muszę przejść piechotą, bo inaczej moje stare kości nie dadzą mi spać. Trzymaj się, młodzieńcze. Ufam, że wiesz, co robisz.

Jakub patrzył jak wielbłądy powoli idą na zachód. Pozostał w ukryciu, dopóki nie upewnił się, że droga jest pusta. Wtedy podczołgał się do sakiewki, zabrał ją i wrócił do miejsca, gdzie uwiązał osły.



Wzgórza przed nim rzucały głębokie cienie, a noc wypełniona była różnymi dźwiękami. Jakub trzymał się z dala od głównego szlaku, jadąc równoległe do rzymskiej drogi. Gdy teren zaczął się wznosić, wraz z pierwszymi oznakami świtu oczom Jakuba ukazały się wzgórza Judei. Młode i silne osły z łatwością wspinały się na kamienne stoki. Jakub kontynuował podróż, aż ciepło

nowego dnia ogrzało mu twarz. Poprowadził zwierzęta jeszcze dalej od drogi, gdzie wyrzeźbiony wiatrem wąwóz uformował naturalną zagrodę. Przywiązał osły i zdjął z nich ciężary. Odkorkował bukłak i wlał wodę do płytkiego zagłębienia w skale, żeby zwierzęta mogły się napić. Sam też się napił, podczas gdy osły popychały się wzajemnie, żeby mieć lepszy dostęp do wody. Z zapasów, które wziął ze sobą, napełnił im worki paszą, jeszcze raz sprawdził, czy powrozy są dobrze przywiązane i wreszcie rozłożył na ziemi koc.

Gdy zasypiał, słowa Yussufa ponownie zabrzmiały w jego umyśle. Jeszcze raz pomodlił się o ochronę dla Latifa, gdziekolwiek on teraz przebywał. Jakub słyszał przerażające historie o wierzących, aresztowanych przez Szawła z Tarsu i strażników świątynnych. Niektórzy byli bici, a potem wypuszczani, o innych słuch zaginął. Pytał Pana, czy dobrze zrobił, że wtedy ukrył się i odszedł. Choć nie usłyszał odpowiedzi na wołanie swego serca, poczuł pewne pocieszenie z samego faktu, że mógł Boga o to zapytać.

Latif był pierwszą osobą, która na jego oczach została aresztowana i zakuta w kajdany. Jakub zasnął, modląc się za uwięzionego przyjaciela. Cokolwiek zrobił, lub czego nie zrobił, Latif był w Bożych rękach.